Nr. 17. Poznań, niedziela 26-go kwietnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28, **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Administracya pisma naszego znajduje się obecnie na ul. Wilhelmowskiej nr. 28 (Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego) i otwarta jest codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt).

Wyzysk robotnic.

W Wiedniu zakończyła się niedawno nader interesująca ankieta, z której dwukrotnie podawaliśmy sprawozdania specyalne, ilustrujące stosunki pracy kobiecej w zakresie robót introligatorskich i metalowych. Przez trzy tygodnie z rzędu przed gronem bardzo wybitnych osób, złożonem z ludzi rozmaitych przekonań społeczno-politycznych, jako to posłów do parlamentu, profesorów uniwersytetów, członków izby handlowej i przemysłowej, kierowników ruchu robotniczego itp. — co wieczór stawali eksperci tak ze strony robotników, jak ze strony pracodawców i odpowiadali na szczegółowe pytania co do różnych gałęzi przemysłowej produkcyi, dających zajęcie kobietom. W ten sposób ankieta zebrać miała materyały do wyrobienia sobie jasnego poglądu na stosunki robotnic, a stwierdziwszy autentyczne fakty, przedstawić je następnie bez żadnych stronniczych komentarzy rządowi i ciału prawodawczemu do stosownego zużytkowania.

Cel osiągnięto w zupełności, materyał zebrano niezwykle obfity. a tak wymowny, że wszelkim komentarzom urąga. Dla bezstronnego i nieuprzedzonego słuchacza lub czytelnika pozostaje jeden tylko sąd o stosunkach, wśród których pracują kobiety: że są to stosunki wprost opłakane. Nie mamy zamiaru wchodzić w drobne szczegóły najrozmaitszych sposobów zarobkowania, ograniczamy się na streszczeniu tych zarzutów, jakie w obec ankiety podnosiły biedne robotnice przeciw wszystkim prawie pracodawcom.

Istnieje w Austryi ustawa, zakazująca pracy dzieci w latach obowiązku szkolnego; istnieją przepisy, regulujące liczbę godzin dziennej pracy, zakazujące pracować w niedzielę, nakazujące pewne urządzenia maszyn, niebezpieczne dla zdrowia i życia robotników, otaczać środkami ochronnemi; istnieje wiele innych zarządzeń ważnych w dziedzinie produkcyi przemysłowej — wszystko to jednak na papierze.

Kobieta robotnica zarabia w przeważnej większości wypadków 2 do 4 złr. na tydzień; pewna ich część (7%) zarabia mniej nawet niż 2 złr, a tylko 11 % robotnic pobiera płacę tygodniową 8 złr. lub nieco więcej. W ogólności płace kobiet nietylko nie podnoszą się, ale objawiają tendencyę ciągłego obniżania się. Robotnice zadawalają się byle czem, a nie oparte o pomoc zawodowych stowarzyszeń nie mogą wywalczyć sobie znośniejszych warunków bytu, to też wyzyskiwanie ich pracy straszne przybiera rozmiary.

Inspektor obowiązków swoich nie wypełnia skutecznie. Przy jednej maszynie zdarza się nieraz po kilkanaście wypadków pokaleczenia, nikt jednak nie donosi o tem władzy. Brudne warsztaty przeważnie tylko raz na rok (!) bywają czyszczone. Robotnice siedzą w atmosferze przepełnionej dla zdrowia szkodliwemi wyziewami z klajstru lub chemikalii, dusznej od pyłu włosów i przerabianej sierści, albo odpadków skór, pracując po 12 do 14 godzin dziennie. Często nawet nie mają gdzie umyć się, jedna kadź z wodą i jeden ręcznik na tydzień służyć musi kilkunastu robotnicom. Przy nędznej płacy obiad ich stanowi para kiełbasek lub kawał koniny; inne spożywają zimną przyniesioną z domu kawę z chlebem. Za spóźnienie się kilkuminutowe płacą karę 50 centów (!), toż samo za przemówienie kilku słów podczas roboty; tym, które się spóźnią o kwadrans, nie wolno w (fabrykach kartonaży) dnia tego pracować. Dziesięcioletnie dzieci pracują po 10 godzin dziennie za 1 złr. 50 c. tygodniowo. Pracuje się też w niedzielę i w nocy aż do dwunastej nieraz. Za to, gdy „sezon“ minie, mianowicie w letnich miesiącach, roboty wcale nie ma. Krwawo i brudno przedstawia się karta stosunków obyczajowych w takich warunkach. Bez obawy o utratę lichego zarobku wymieniano po imieniu i nazwisku pracodawców, którzy z każdej dziewczyny, wstępującej do ich zakładu, robią dosłownie uliczniee.

Dyrektorzy fabryki i dozórcy w brutalny sposób obchodzą się z temi ofiarami nędzy. Wydalają np. robotnice bez wypowiedzenia, a kobiety brzemienne aż do samej chwili rozwiązania muszą ciężko pracować. Odbija się to oczywiście jaknajfatalniej na potomstwie. Tylko w nader rzadkich wypadkach dziecko robotnicy przychodzi na świat zdrowe i rozwija się pomyślnie. Jedna z takich robotnic, znajdująca się właśnie w stanie „błogosławionym“, opowiadała przed ankietą, gdzie i jak teraz pracuje. Za kilka dni będzie musiała się położyć, boi się jednak głodu i pracuje do upadłego. Miała już troje dzieci; wszystkie pomarły.

Z zakładów, przerabiających kruszcowe przedmioty, gdzie grynszpan osiada na piersiach słabych kobiet, kilka z nich przedstawiło się jak z grobu wykopane trupy i upiory, po świecie chodzące. W innych fabrykach dozórcy zakazują kupować piwa w przyległych szynkowniach, sami zaś wódkę sprzedają i do zaopatrywania się w nią u siebie zmuszają. Własnego pomieszkania robotnica mieć nie może, wynajmuje więc łóżko, jak mówią w Wiedniu. W ciasnej, dusznej mansardzie, wilgotnej suterenie, na przestrzeni 6 do 9 metrów kw. stoi po kilka łóżek, za które każda płaci po 2 złr. tygodniowe. Trzecia lub w najlepszym razie czwarta część płacy idzie na to pomieszkanie, w którem po ciężkiej kilkunastogodzinnej, trawiącej pracy robotnice odpoczywać mają.

Szczególnie nędzną, okropną nieraz jest dola nowicyuszek, które przez mniej lub więcej długi czas próby pracować muszą bezpłatnie lub za kilkadziesiąt centów tygodniowo! Lepiej sytuowane „uczennice“ dostają wprawdzie stancję i wikt, ale pod obu względami przytaczają inne horrenda, od których włosy stają na głowie. Wikt bywa taki, że robotnice z niego chorują. Jedna niedawno umarła — według oznaczenia lekarza — z głodu! W tym wypadku dzięki ankiecie wdrożono postępowanie karne.

Znakomitą ilustracyę do powyższych stosunków podał przewodniczący ankiety, profesor uniwersytetu dr. Eugeniusz Philippowich, który w obawie snać, aby go nie posądzono o szemranie pustemi frazesami, na podstawie obfitych materyałów statystycznych przedewszystkiem wykazał, że u kobiet w ostatnich latach ogromne uczyniła postępy tendencya do zapewnienia sobie niezawisłego bytu. Z 12 milionów kobiet, przebywających w Austryi według spisu z r. 1890, więcej niż połowa bo 6,200,000 oddawało się pracy zawodowej. Największej liczbie

kobiet zajęcie daje gospodarstwo wiejskie. — ze służby gospodarskiej przypada 4,3 miliony na kobiety, a tylko 4,2 na robotników męskich. W handlu i przemyśle stosunek ten przedstawia się jak 1,2 do 2,7. O ile zaś korzystniejszem dla kobiet jest zajęcie w rolnictwie, niż na innych polach pracy, poucza statystyka małżeństw, najlepszy w tym wypadku probierz, dopóki rodzinę uważa się za podstawę organizacyi społecznej. Otóż na 1000 kobiet, zajętych w gospodarstwie wiejskiem wychodzi za mąż przeciętnie 501, podczas gdy w handlu 255, a w przemyśle tylko 236. W większych miastach zachodzi jeszcze gorszy stosunek: w Wiedniu np. na 1000 kobiet, żyjących z przemysłu, wychodzi za mąż 160, w Pradze zaledwie 127. W przemyśle procentowy udział robotnic, jak wykazuje prof. Philippovich, stoi w prostej proporcyi do rozmiarów przedsiębiorstwa, przyczem zauważyć można, że robotnice znajdują zajęcie przeważnie w zakresie robót ręcznych, podczas kiedy praca maszynowa pozostaje wyłącznie prawie udziałem mężczyzn. Na zapytanie, czy praca kobiet stwarza groźną konkurencyę maszynom, waha się dr. Ph. dać odpowiedź stanowczą.

Niewątpliwie robotnice często wypierają robotników, ale w miarę lepszego podziału pracy niedogodności wynikające stąd dla mężczyzny maleć będą coraz bardziej, robotnikom bowiem zawsze prawdopodobnie powierzane będą roboty subtelniejsze i wymagające większego nakładu siły, gdy dla kobiet pozostanie tylko obsługiwanie maszyn i dział robót podręcznych. Że stały wzrost liczby robotnic deprecyonuje pracę mężczyzn, zaprzeczyć się nie da; mimo to jednak mężczyzni są nierównie lepiej wynagradzani, niż kobiety.

Wracając do ankiety, trudno spodziewać się po niej wprost i odrazu pozytywnych rezultatów. Zrobiła jednak swoje, odsłoniwszy cały szereg faktów, których zdrowe społeczeństwo znieść nie powinno i nie może. Wydobyto na jaw niegodziwości, dotąd pokrywane przemilczaniem i upiększaniem. Prace ankiety, które mają być niebawem ogłoszone drukiem, obudzą z jednej strony uśpione sumienie społeczeństwa, z drugiej popchną niewątpliwie władzę do energiczniejszych kroków przeciw różnym niesumiennym handlarzom krwi ludzkiej i do nadzoru pracy domowej, jak to się oddawna dzieje w Anglii.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Socyalizm wśród młodzieży polskiej. Doskonale redagowany *„Przegląd Wszechpolski“* (Lwów) zamieszcza od pewnego czasu szereg artykułów, charakteryzujących młodzież polską w zaborze rosyjskim. W najświeższym numerze (Nr. 8) znajdujemy w tej kwestyi następujące trafne uwagi:

„Zdaje mi się, że nie popełnię wielkiego błędu, gdy podnosząc prąd główny, panujący w ruchu umysłowym naszej młodzieży, nazwę dzisiejszy okres jej życia — okresem socyalistycznym. Istotnie socyalistyczny pogląd na społeczeństwo, ideały i dążenia tego kierunku pozyskały śród dzisiejszej naszej młodzieży uniwersyteckiej ogromne rozpowszechnienie, przenikając do wszystkich niemal ruchliwszych umysłów.

Gdy dawniej, przed dziesięciu jeszcze laty, zwolennicy socyalizmu stanowili nieliczną garść młodzieży, mocno wyodrębniającą się z pośród reszty zarówno pojęciami, jak zdecydowanym czynnym charakterem rewolucyjnym, — dziś ruch socyalistyczny ogarnął szerokie sfery młodzieży, całą niemal jej masę, stał się prądem panującym, ale zato, że tak powiemy, rozcieńczył się, stracił swój ostry, rewolucyjny charakter. Są to zwykłe dzieje każdego nowego prądu, na które u nas złożyło się jeszcze to, że socyalizm nasz nigdy nie był ruchem samodzielnym, zawsze naśladował i naśladuje obce wzory: dawniej czerpał natchnienia z młodej Rosyi, walczącej dynamitem; dzisiaj zaś, gdy tam wzorów nie stało, zwrócił swe oczy ku zachodowi, gdzie ruch zeszedł na tory systematycznej walki legalnej. Z drugiej strony, dzisiejsza młodzież, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, nie ma tego temperamentu, co jej poprzednicy z przed lat kilkunastu; pod wpływem też łagodnego i biernego jej usposobienia wytworzyła się u nas specyalna odmiana socyalizmu, ciekawe zjawisko, które powinno zająć nieposlednie miejsce w patologii prądów umysłowych. W dalszym ciągu zwrócimy na nią bliższą uwagę.

Socyalizm jest kierunkiem umysłowo nader jałowym. Od czasów Marxa istnieje on w postaci skończonej doktryny, tak mało przedstawiającej pola do samoistnej twórczości umysłowej, że przedstawiciele jego od wyjścia „Kapitału“ nic prawie nowego nie powiedzieli. Czemuż więc przypisać panowanie jego śród inteligentnej młodzieży, dla której interesy umysłowe powinny mieć pierwszorzędne znaczenie?..

Pierwszą bez wątpienia i najgłówniejszą przyczyną jest wartość moralna socyalizmu. W dzisiejszych czasach, kiedy brutalny egoizm, podniesiony do zasady, zapanował w życiu społeczeństw, kiedy mieszczańska Europa, wyzwoliwszy się z wszelkich wędzideł moralnych, w najbardziej wpływowych sferach przedstawia obraz ostatecznego bodaj upadku, kiedy duszą wszelkich programów politycznych stał się interes, pojmowany w najbardziej poziomy sposób, bądź wypowiadający się szczerze, bądź obłudnie ukrywany pod płaszczykiem tanich frazesów, kiedy przedmiotem literatury pięknej, wyzutej z ideałów, stały się najniższe rodzaje używania życia, kiedy religia prawdziwa pozostała tylko śród szarego tłumu, tracąc w umysłach ludzi oświeconych pierwszą swą podstawę — szczerą wiarę, kiedy jedni zrobili z niej przedmiot dobrego tonu, inni zaś nadużywają jej w błazeńskich grymasach literatury i sztuki, przybierających wielkie miano neochrystyanizmu — umysłom potrzebującym czegoś pozytywnego moralnie, a nie umiejącym stać o własnych siłach, jedyną jaśniejszą perspektywę otwiera ta ewangelia społeczna, prosta, przystępna dla rozumów bardzo nawet niewyrobionych, upraszczająca w naiwny często sposób rzeczy bardzo zawiłe, ale mająca silną podstawę mo-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Dokończenie).

— Bo widzisz — rzekł po krótkim namyśle — jednego mi tylko żal... Tak mi było przyjemnie, taki byłem szczęśliw, że nawet powiedzieć nic umiem. I proszę cię, czemu to tak krótko trwało. Zaledwie sześć czy siedm dni.... Żeby choć pół roku. miesiąc jeden przynajmniej, a to sześć czy siedem dni i już po wszystkiem!

Łasiecki, choć sam także wzruszony, poczyna zagadywać.

— Te kobiety dziwne mają serca. A wiesz ty Franek, jakie by to było ciekawe, żeby one nosiły serca na wierzchu, jak ordery. Zresztą nietylko kobiety, ale wszyscy ludzie. Toby ci się ludziska na siebie gapili... ha, gorzej niż na loteryę. Patrzymy, a tu idzie jakiś pan, któremu błyszczy się coś pod brodą... Wszyscy zaczynają szeptać: „patrzaj, patrzaj idzie złote serce.“ D. drugi ma coś szarego pod szyją... aha to serce z kamienia. Inny znowu trzyma coś w garści. aha. ten niesie serce „na dłoni“. Inny znowu, co surdut dobrze zapina, ma z pewnością „głupie serce“. A ci, co się chowają, to ludzie bez serca. Oto świat byłby wtedy pusty, jak po cholerze.

Powyższe refleksye zastanowiły wielce Franciszka, gdyż przestał układać rzeczy w kuferku i zapatrzył się w próżnię, przyczem zrobił tak zabawną minę, że Łasiecki musiał parsknąć śmiechem.

— A tom ci zabił klina w głowę.... c....co?

— No cóż?... — odbąknął Smolarz — na świecie tak już zawsze będzie, jak jest. Ludzie sądzić cię będą z tego, jak wyglądasz, a nie tak, jak na to uczciwą pracą zasłużysz. Żebym ja tak wyglądał, jak ten błazen, to pewnie byłoby ze mną inaczej. Jak myślisz, Łasiecki, byłoby inaczej, prawda.

— Żeby, żeby!... no, pewnie. Żeby ciocia miała wąsy i hiszpańską brodę, to mogłaby być Napoleonem...

— Ale jeszcze ja nie daję za wygranę — ciągnie dalej Smolarz, nie zważając na żart przyjaciela. — Za granicą kupię sobie książek i będę wieczorami wciąż czytał.

— Po łacinie czy po grecku?

— Proszę cię, czego się śmiejesz? Ot, nieraz jest w głowie taka ładna myśl, że aż radość bierze, lecz cóż?... powiesz, a ona taka jakaś marna, że ludzie ruszają tylko ramionami. Po prostu słów brakuje i tyle; a przecież słowa i mądre zdania są w książkach, tylko czytać z rozwagą. Do szkoły nie miałem za co chodzić, teraz trzeba uczyć się samemu.

— Jak ty zaczniesz teraz chodzić do szkoły, to z pewnością na kolej przyjdziesz za późno.

Smolarz zabrał się znowu do pakowania.

Wśród tej pogadanki dwu przyjaciół, w serdecznym prowadzonej tonie, rozwarły się drzwi i do pokoiku wtoczył się Raniecki, prowadzony pod rękę przez Szołomiejskiego. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że obaj wracają od Bronarza. TwarzRanieckiego gorzała ogniem, a oczy Szołomiejskiego, ustrojone w mniejsze niż przedtem okulary, uśmiechały się słodko.

Raniecki stuknął na progu laską i zakrzyczał:

— Hej, a jest tu stary Borajski?

— Nie, nie ma — odparł Smolarz.

— Widzisz, że go nie ma — zauważył Szołomiejski.

— A gdzie on jest? W pracowni powiadają, że poszedł do pana. W domu go nie ma, tu go nie ma... a gdzie on jest, ten stary Borajski, ha?

— Pewnie wyszedł na miasto — zauważył znowu Szołomiejski. — Przyjdziemy później. A teraz chodź do domu i połóż się spać, boś śpiący.

— Słyszycie chłopcy, co on mówi? — zawołał Raniecki, wybuchając śmiechem. — Ja śpiący, czy kto widział, ja śpiący! Otóż na złość nie pójdę. Przekonajcie się, czym śpiący.

Wtoczył się do wnętrza i zatrzymał szczęśliwie nad kuferkiem, w który przez nieuwagę wsadził laskę między bieliznę Franciszka.

— Smolarz, serdeńko, gdzie stary Borajski, ha?

— Nie wiem, panie Raniecki, przed chwilą był tu wprawdzie, ale wyszedł

ralną — dobro ludzkości, cel dążeń szczerych, pojmowany w sposób świeży, niezużyty.

Nie może nas tedy dziwić, że młodzież nasza, stojąca pod względem moralnym dość wysoko, posiadająca silnie rozwinięte popędy obywatelskie, a dzięki ogólnemu kierunkowi naszego życia umysłowego przywykła szukać dla wszystkiego natchnień i wzorów na zewnątrz, że ta młodzież znalazła ujście dla swych popędów moralnych w ruchu socyalistycznym.

Niemniej ważną przyczyną szerzenia się ruchu socyalistycznego śród naszej młodzieży jest pewna, żywiołowa niemal rewolucyjność jej umysłów, zastrzegam — umysłów, nie usposobień, bo temperamentów rewolucyjnych śród dzisiejszej młodzieży nie masz. Ruch pozytywistyczny, niezwykle silny swego czasu, dał tak potężny impuls reformatorski młodszym pokoleniom, że działanie jego, acz słabnące stopniowo, dziś jeszcze trwa i utrzymuje w tej młodzieży nieustającą potrzebę przeciwstawienia siebie całemu społeczeństwu, protestowania przeciw czemuś, burzenia czegoś itp. Kto przyglądał się uważnie pierwszym stadyom rozwoju „niezależnego“ poglądu na świat w umyśle dorastającego ucznia gimnazyalnego, ten musiał zauważyć, że jakaś instynktowna potrzeba protestowania występuje tam pierwej, aniżeli świadom ść, przeciw czemu protestować należy. Ta rewolucyjność umysłów będąca spuścizną po „pozytywizmie warszawskim“, dziedzicząca nawet wiele z właściwych jego składników, bezwątpienia coraz mniejszą będzie grała rolę w rozwoju pojęć naszej młodzieży, działanie bowiem raz danego bodźca stopniowo musi słabnąć, dzisiaj jednak ma ona jeszcze znaczenie pierwszorzędne.

Pragnąc sobie wyjaśnić przyczyny rozwoju ruchu socyalistycznego śród naszej młodzieży, nie należy także zapominać, że wszelka siła wywiera wpływ przyciągający, któremu niełatwo jest się oprzeć. Taką siłą przed kilkunastu jeszcze laty była rewolucya rosyjska, która pociągnęła w swe szeregi liczne jednostki z pośród naszej młodzieży i zrodziła u znacznego jej odłamu z trudnością wytępione potem rusofilstwo, taką siłą rosnącą ciągle, jest współczesny socyalizm europejski — nie dziw więc, że porywa jednych w całości, innych zaś oczy przynajmniej ku sobie przyciąga.

Możnaby zwrócić uwagę, iż szerzenie się socyalizmu śród młodzieży nie jest wcale zjawiskiem wyłącznie do naszego społeczeństwa przywiązanem, że ruch ten rozwija się i w innych społeczeństwach, że zatem przyczyn tego zjawiska nie trzeba szukać na miejscu, ale w stosunkach szerszych, wychodzących po za granicę naszego narodowego istnienia. Uwaga ta do pewnego stopnia byłaby słuszna. Istotnie, nie ma w tem nic dziwnego, że ideały socyalistyczne pozyskują sobie w sferze młodzieży inteligentnej wielu zwolenników — przechylanie się ku tym ideałom widzimy wszędzie, nietylko śród młodzieży, ale i śród ludzi zajmujących wybitne stanowiska w literaturze, nauce i życiu politycznem. Nie może też nikogo dziwić, że temperamenty agitatorskie, zaciągają się w szeregi czynnych bojowników socyalizmu, prowadzą jego propagandę śród mas, organizują robotników itp. — to także widzimy wszędzie, gdzie tylko warunki ekonomiczne stwarzają grunt odpowiedni dla propagandy, a że u nas warunki te skutkiem pewnego rozwoju przemysłu istnieją, to dziwićby się raczej należało, gdyby socyalizm pewnej ilości ludzi z odpowiedniemi usposobieniami nie fanatyzował i do agitacyi nie popychał. Ale dla czego cała masa inteligentnej młodzieży, nie mającej w swem usposobieniu odpowiednich warunków, nie zajmująca się wcale propagandą, nie próbująca się zbliżać do mas robotniczych, dla czego ta masa nie poprzestaje na sympatyach dla socyalizmu, na przejęciu się nawet jego ideałami, ale dobrowolnie nakłada na swój umysł pęta doktryny socyalistycznej, wziętej bezkrytycznie, i verba magistri, ala czego w tych kwestyach, w których socyalizm swe zdanie wypowiedział, uznaje je z góry nie usiłując sprawdzać jego słuszności, dla zagadnień zaś, wykraczających po za granice socyalistycznej kompetencyi, zachowuje przeważnie całkowitą obojętność, dlaczego, postawiwszy sobie za ideał, myśleć tak, jak dobrze „spropagowany“ robotnik, zatraca zmysł dla zagadnień naukowych, filozoficznych, literackich, obojętnieje dla rzeczy, będących najwyższym wykwitem myśli ludzkiej, dlaczego ci przyszli przodownicy umysłowi swego społeczeństwa, zabiwszy sobie mózgi ćwiekiem doktryny, rozcinającej jednym zamachem węzeł gordyjski najzawilszych zagadnień, które trzeba mozolnie rozwiązywać, dobrowolnie przerabiają się na kulturalnych barbarzyńców — to pozostaje zagadką wyłącznie naszego bytu“.

* * *

Głos polsko-ewangielicki. Szczerze polska, ewangielickim Mazurom poświęcona „Gazeta ludowa“ polemizuje w Nr. 30 z „Polskim przyjacielem familii“ organem germanizacyjnym, redagowanym dawniej dwujęzycznie, obecnie zaś jednojęzycznie. „Gazeta Ludowa“ taką daje odprawę „Przyjacielowi“:

Religijny „Przyjaciel“ niby nie trudni się polityką, owszem potępia zajmowanie się polityka; ale to nie przeszkadza mu dawać polskiemu ludowi ewangielickiemu rady polityczne złowrogie i przewrotne. Bo pisze: „A więc porzućmy mrzonki i ideały światowe, a bądźmy przedewszystkiem ewangielikami i pokochajmy nasze ewangielickie piśmiennictwo.“ Tak, na to szczera zgoda: pokochajmy nasze ewangielickie piśmiennictwo! Bo bez kochania — piśmiennictwo to, czemby zostało? Są to tylko próby, pierwsze kroki, stawiane na drodze, i bez kochania nawet sam „Przyjaciel“ obróciłby się — w co? W pismo, jak było jeszcze niedawno, licho-dwujęzyczne, a potemby zamarło jednojęzycznie. Ale stanowczy protest zanosi każda dusza ewangielicko-polska przeciwko temu wyrokowi „Przyjaciela“: „A więc porzućmy mrzonki i ideały światowe!“ Ach, tak! to prawda, mrzonki porzuciliśmy już dawno: już od dwudziestupięciu przeszło lat gospodarki germanizacyjnej wyleczyliśmy się z mrzonek zupełnie. Ale ideały nam nie spleśniały. Rozumie się, że to są ideały światowe. Jak będziemy się znajdowali w niebie, to tam będziemy mieli ideały niebieskie, ale póki tu bawimy na tym nędznym świecie, to jeżeli jest idealną rzeczą mieć jeszcze jakieś ideały, one pokazywać się mogą tylko na szacie światowej. „Przyjaciel“ ma też swoje ideały, czysto światowe, a to przedewszystkiem ten, że polskiemu ludowi byłoby może najlepiej, żeby jak najprędzej się zniemczył. Nie posądzamy wszystkich germanizatorów zaraz o złe zamiary serca, o myśli Faraonów i Herodów, bo wiemy, że niejeden germanizator sądzi, iż dobrodziejstwo świadczy ludowi polskiemu przez niemczenie go...

Mrzonki się przemarzą i przeminą; ale prawdziwe ideały pozostaną, i nawet wśród najtrudniejszych i najrozpaczliwszych stosunków będą ideały zdążały do swego wcielenia się w życiu praktycznem. Nie mogą ideały zamrzeć w piersiach ludzkich, dopóki ludzie pozostaną ludźmi, a nie zamienią się na by-

---

Wyjm pan z łaski swojej z kuferka laskę, bo mi pomniesz koszule.

Raniecki poczyna kiwać głową, kiwa się sam także i położywszy palec na nosie, powiada:

— Smolarz, serdeńko, ty kłamiesz, on się tu gdzieś schował. Ej Smolarz, Smolarz.. ślusarz nie golarz, gdzie on się schował? co? Może tam?

Upadł na czworaki i począł wygartywać z pod łóżka laską stare trzewiki.

— Jak się pan teraz przewrócisz, to już dziś nie wstaniesz — woła Łasiecki, a podnosząc Ranieckiego za kołnierz do góry, dodaje — wstań pan, bo to szkodzi na głowę.

Daj mi pokój — odrzekł na to Raniecki, prostując się. — Myślisz, że ja pijany. Nie to on pijany — wskazał na Szołomiejskiego, który pochylając się to w tył, to naprzód, zabawiał się ode drzwi widokiem wesołego towarzysza.

— Bo widzisz — ciągnął dalej Raniecki — dwóch piło: Raniecki i Szołomiło; Raniecki zuch, a jego oszołomiło. Ot jest i rym, ha, ha, ha! A gdzie ten stary poczciwy Borajski, co?

— Poszedł na miasto.

— Ej Łasiecki, ty cyganie kochany, powiedz, gdzie Borajski, bo jak ci dam raz... A jaki jest rym do Łasiecki? ha?

— Pewnie, że nie inny, tylko Raniecki.

— O, jeżeli tak, to chodź, niech cię pocałuję. No, patrzajcie ludzie, on się ze mną rymuje!

Łasiecki widząc, że czułość Ranieckiego wzbiera, odskoczył przed uściskiem grubego sąsiada za kuferek, i bezpieczny w tem miejscu, zawołał:

— Moi panowie, Franek wnet odjeżdża i ja na żarty obecnie nie mam czasu; otóż powiem wam już zupełną prawdę, gdzie jest t... ten stary poczciwy Borajski, tylko ustąpcie z przed kuferka i zostawcie nas w spokoju.

— A więc mów, mów, tylko prędko... bo on musi nas razem widzieć.... Musi dowiedzieć się, że my już w zgodzie. Musi usłyszeć, że Szołomiejski przysiągł mi u Bronarza nie robić żadnego więcej towarzystwa, a ja mu za to obiecałem pożyczyć pięćset...

— Cicho, ty stary gaduło — szepnął Szołomiejski i pociągnął go za surdut.

— A więc gadaj, gdzie on, ten stary, poczciwy...

— Właśnie kiedy szedłem ulicą, spotkałem go na drodze — zmyślał na prędce Łasiecki. — Pytam więc: „Gdzie pan idzie?“ a on na to: „D... tego starego, poczciwego Ranieckiego.“

— Tak mówił?

— A jakże. Ja zaś mówię: „Pana Ranieckiego nie ma pewnie w domu“ — on zaś na to: „Nic nie szkodzi, zaczekam, aż przyjdzie.“

Opowiadanie trafiło do przekonania obu pogodzonych sąsiadów, gdyż uścisnąwszy Smolarza na pożegnanie, ujęli się zaraz pod ręce i poszli dalej szukać Borajskiego.

Kuferek był już spakowany, gdy Smolarz zauważył, że nie od rzeczy by było obwiązać go jeszcze rzemieniem, gdyż jak twierdził Borajski, na kolejach nikomu dowierzać nie można. A ponieważ rzemienia nie było pod ręką, więc Łasiecki wybiegł do miasta, aby go kupić.

Zaraz po jego wyjściu, na korytarzu dały się słyszeć ciche kroki i bezpośrednio potem nieśmiałe pukanie.

— Kto to może być? — przemknęło pytanie przez myśl Smolarza. Serce zabiło mu raźniej. Nikt inny tylko ona...

Jakoż istotnie na słowo „proszę“ otwarły się drzwi i do pokoiku wsunęła się nieśmiało Lola. Dziewczyna, której życie do niedawna wrzało jeszcze szczerą młodością, która miesiąc może jeszcze temu podobną była do sarny w ruchach, a do róży niezupełnie rozkwitłej w swej dziewiczej krasie, dziś blada, schorowana, potulna, zmęczona, bolesne czyniła wrażenie.

— Przeszkadzam panu? — zapytała cichym głosem od progu.

— Nie, proszę.

— Nie chciałeś pan pożegnać się ze mną, więc ja przyszłam powiedzieć panu: „daj Boże szczęście na obczyźnie“. — Usiadła na krześle.

Smolarz nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, spuścił oczy na kufer i odbąknął:

— Nie, panno Lolu... ha, no cóż?

— Siostrę zabrałeś mi pan.

— Musiałem panno Lolu... bo trudno.

— Przykro mi, że będę tu odtąd sama; ale Anulce lepiej jest u Szelągów niż u nas. Więc dobrześ pan zrobił. Nie sądź pan, że ja się na nią gniewam; Bóg widzi, że me a nic. To też będę ją często odwiedzać.

— Jeżeli łaska, to proszę.

dlęta. Zadaniem naszem było od początku a i nadal będzie ludowi ewangielicko-polskiemu otwierać oczy, pokazywać ludowi temu krzywdy, jakie mu wyrządzają jego współobywatele. Lud ewangielicko-polski dotychczas rzeczywiście był wychowywany jak drzewo w lesie. „Polski przyjaciel familii“ dotychczas bardzo mało się starał wyciągnąć to drzewo z lasu i postawić je pod promienie słoneczne. Owszem, każdy z naszych czytelników przyzna nam, że „Polski Przyjyciel“ tylko więcej i głębiej w las wciągał lud ewangielicko-polski. Jeżeli „Polski Przyjaciel“ rzeczywiście tak religijnym jest, dla czego więc nie zastosował się podług Pisma świętego, dla czego używał dwujęzyczności? My od samego początku służyliśmy tylko jednemu panu a i nadal tak samo służyć będziemy.“

* * *

Antikolonizacya. W berlińskiej „Gazecie polskiej“ czytamy:

„Nie zapominajmy o tem, że przeciw kolonizacyi niemieckiej nie obronią nas protesty i narzekania, ale obroni jedynie rozsądna, energiczna kolonizycya, albo antykolonizacya polska.

Na obczyźnie, pamiętajmy o tem, niejeden z naszych włościan, choć setki giną, dorabia się grosza, i mógłby powrócić i osiąść na glebie rodzinnej, mając dogodne warunki. Starajmy się o to, aby i te jednostki, które zresztą wyrobiły sobie zwykle wśród obcych większą energię i odporność, pozyskiwać można dla kraju. A stać się to może jedynie przez to, gdy nasze przedsięwzięcia, jak bank ziemski i spółka parcelacyjna, będą rozporządzały coraz większemi środkami pieniężnemi, aby mogły skutecznie prowadzić osadnictwo polskich włościan w kraju.

Popieranie parcelacyi, popieranie banku ziemskiego jest tedy zdaniem naszem jedną z głównych potrzeb naszych, i najgłówniejszem polem działalności dla nielicznych, a przeto obowiązanych do tem większej oględności i bystrości kapitalistów naszych.“

* * *

Nasi posłowie. Pod adresem posłów naszych w Berlinie wysyła „Kraj“ petersburski następujące memento:

„Koło w dzisiejszym swoim składzie nie ma talentów krasomówczych, któreby się mierzyć mogły z mówcami wrogiego obozu — cóż na to poradzić? Winić nikogo o to nie można, ale nie zastosować się do tego faktu znaczy narażać na klęski siebie, a po części i kraj. Powtóre, zadługie, zaszczegółowe dowodzenia, nawet dobrze pomyślane i udatnie wykonane, nie są w danym wypadku na miejscu. Po co mamy zamykać oczy na prawdę — mowy posłów polskich wskutek tych przyczyn sprawiają wrażenie wprost fatalne.

Minister oświaty ogłasza bez żenady, że robi ze szkoły narzędzie polityki, tępienia i nienawiści, środek udręczenia milionów obywateli w państwie, które ma wielkie pretensye do tytułu rechsstaat'u. Większość sejmu bezczelnie manifestuje gotowość oklaskiwania i popierania wszelkiego gwałtu. Bezmiar złej woli, barbarzyństwa, jakiejś namiętności krzywdzicielstwa odurza i oburza. Czegoż oczekiwać mamy od posłów polskich? Pokazania rzeczy i ludzi w świetle właściwem, w całej ich nagości i ohydzie; napiętnowania dzikości pruskiej, wychłostania jej szyderstwem; oświadczenia wreszcie, że zmuszeni do walki parjasy państwa pruskiego bronić się będą, bronić się będą w twierdzy, do której zdobycia p. Bosse nie ma ani dział, ani armi, do której nie wejdzie ani zdrada, ani przekupstwo, a tą twierdzą rodzina.

Zamiast tego, słyszymy pienianie się z ministrem o drobne kłamstewka jego, zapewnianie o lojalnym stosunku do niemczyzny. To daje napastnikowi przewagę i pozory słuszności. Chwilami wydawać się może, iż posłowie polscy boją się ministra. Kategoryczne, głębiej pomyślane, energicznie ukute i wygłoszone oświadczenia byłyby stokroć właściwsze i skuteczniejsze, niż monotonne wywody, bezsilne, bo nie działające ani na umysł, ani na wyobraźnię.

Nieprzystosowanie broni do ręki, a rodzaju walki do sytuacyi, mści się dotkliwie i musi klęskę zgotować. Argumenty i ich sformułowanie w mowach robią wrażenie, jak gdyby posłowie polscy nie odczuwali głęboko słów swoich, jak gdyby nie wpracowali się myślą w dany temat polityczny — a przecież to kwintesencya minimalnych żądań ludności, którą reprezentują. Pierwszym warunkiem skutecznej rozprawy jest dobieranie argumentów, mogących trafić do umysłu przekonywanego. Tymczasem zdawać się może, iż posłowie polscy o to wcale nie dbają, lecz mówią to, co im sprawia satysfakcyę. Inaczej zrozumieć niepodobna wiecznego powoływania się na traktaty, na poręczenia królewskie. Przecież wiadomo z absolutną pewnością, że takie powoływania się nie sprawiają wrażenia; uporczywe powtarzanie wiecznie tej samej piosenki, raczej śmiech budzi lub rozdrażnienie, niż jakikolwiek wstyd, czy poczucie obowiązku. Niepodobna wyraźniej oświadczyć, niż to zrobiły izby i ministerstwa pruskie, iż nie myślą wcale postępowania swego stosować do starych pargaminów. Argumenty działać powinny, inaczej szkodzą.

Są oczywiście wypadki, kiedy wyczerpujące, szczegółowe wywody są niezbędne, ależ, na Boga, nie wtedy się popisywać z niemi należy, gdy przemoc nie ma zamiaru ani słuchać, ani rozumować, lecz jedynie urągać, pastwić się nad niemocą.

— ski.

O Stańczykach.

(Wyjątek z 2-go tomu dzieła K. Bartoszewicza o „Rzeczy“ p. Koźmiana).

(Dokończenie.)

Widzimy więc jasno z tego, iż sami autorowie Teki uznawali chwiejność Przeglądu, brak ustalonych zasad i wytkniętej drogi politycznej, że w jednym i tym samym Przeglądzie każdy się zapatrywał na rezolucyę, jak mu się podobało, że wogóle założyciele Przeglądu zakładając go, nie myśleli ani o akcyi politycznej, ani o założeniu stronnictwa, że główny niby kierownik jego polityki pan Koźmian nie miał przekonań, a tylko zdania, że aż do ukazania się Teki Stańczyka flitrował on zarówno ze stronnictwem konserwatywnem jak i z epigonami ruchu i że dopiero w r. 1869, kiedy początek Teki Stańczyka wywołał gwałtowne artykuły dziennikarskie, p. Koźmian, podniecony staczaną walką, stał się szermierzem „zasad konserwatywnych“ i jawnym już wrogiem Kraju“ i jego stronnictwa, stał się więc

---

— Na jak długo wybierasz się pan w świat?

— Albożja wiem, panno Lolu?... Może na rok, może na dwa lata, a może i więcej.

— Czytałam w jakiejś książce, że gdy się długo między obcymi jest, wtedy łatwo można popaść w pewną słabość, której nazwy nie pamiętam. Jestto tęsknota do kraju.

— Jak mi będzie tęskno, to wrócę.

— Jest na to inne jeszcze lekarstwo: zakochać się, ożenić i na obcej ziemi zostać, jak między swoimi.

— Hm.. . i to być może.... chociaż trudno,

Nastaje chwila milczenia, którą pierwsza przerywa Lola.

— A ma pan już wytkniętą drogę?

— Ha, no cóż?.. Pojadę koleją do Pragi i tam przebędę kilka miesięcy; potem pójdę piechotą do Wiednia, potem do Styryi, gdzie są wielkie huty żelazne, potem... Pan Bóg wie gdzie.

— I myślisz pan wszędzie piechotą chodzić?

— Dla czego nie? Nogi mam dobre, zdrów jestem. A jak się idzie piechotą, to się więcej widzi.

— Mnie się zdaje, że gdy pan raz pójdziesz od nas, to już więcej nie wrócisz.

— Dla czego, panno Lolu, nie mam wrócić?

— Bo niejeden poszedł w daleki świat, podobnie jak pan, znalazł tam lepszą dolę i już został między obcymi.

— Ja nie idę, panno Lolu, po lepszą dolę, ale po naukę. A wrócić muszę, bo kocham mój kraj, moją mowę i zostawiam tu Anulkę..

Na te słowa wbiegł Łasiecki z rzemieniem i oznajmił, że za pół godziny pociąg odchodzi, w obec tego dalsza rozmowa Loli ze Smolarzem przerwać się musiała. Lola odpowiedziała jeszcze kilku słowami na żarty Łasieckiego, uśmiechnęła się i podała rękę Franciszkowi.

— Jedź pan zatem z Bogiem, panie Franciszku, a nie myśl pan o nas tak bardzo źle; trochę wolno, ale nie bardzo. Nieraz ludzie i zgrzeszą, chociaż grzeszyć nie chcą Tym trzeba przebaczyć, bo są najczęściej z własnej winy nieszczęśliwi.

Wydało się Smolarzowi, że w jej oczach łzy zamigotały.

Odchodząc zatrzymała się na chwilę przy jego zarzutce, wiszącej na kołku obok drzwi, a gdy zauważyła, że młodzi ludzie zajęci wiązaniem kuferka, nie zwracają na nią uwagi, wyjęła prędko z kieszeni małe zawiniątko i wetknęła je w kieszeń ubrania Smolarza, poczem odeszła pospiesznym krokiem.

— O czem rozmawialiście? — zapytał Łasiecki, gdy za Lolą drzwi się zawarły.

— At, tak tylko, o niczem.

— A więc jazda. Kapelusz na głowę, laska w garść i w drogę.

Z ulicy spojrzał Smolarz po raz ostatni na dom Borajskich. Wydało mu się, że widzi jej cień za firanką, a przynajmniej jej białą rękę, co zmiąwszy część muślinowej zasłony, bezwiednie na widok się wysunęła.

Na dworcu, na parę minut przed odejściem pociągu, ozwał się Łasiecki:

Wiesz ty Franek, ja ci coś oddawna chciałem powiedzieć, ale umyślnie odkładałem to na później, na sam koniec, bo ja do stu djabłów t... takich rzeczy mówić nie lubię. Licho nadało tę głupią ludzką mowę. Daleko l... lepiej by było, żeby człowiek z głową na karku rozmawiał na migi, bo by przynajmniej sam siebie nie słyszał. Ot patrzaj tam na ten wagon, gdzie jest napisane „40 ludzi albo 8 koni“ i oblicz ileby się tam zmieściło ludzi na koniach, a ja tymczasem powiem ci to, co jest właściwie wielkiem głupstwem. Nie siedź ty mi długo za granicą, bo to nic nie warte. Widzisz, ja już za wiele hulałem po świecie i już mi się hulanie sprzykrzyło. Więc rozważywszy to i owo chcę się ożenić. Patrzaj tam na wagon i nie śmiej się. Otóż koniec końców, jedź prędko, wracaj co prędzej, a potem daj mi Anulkę za żonę..

Smolarz zdziwił się najpierw, potem ucieszył się ogromnie, wreszcie począł ściskać przyjaciela serdecznie. Oczywiście, że bez długiego namysłu zgodził się na oddanie Anulki Łasieckiemu.

Gdy już konduktor nawoływał do wsiadania, zauważył Franciszek, że coś mu zanadto kieszeń paltota odstaje. Sięgnął ręką i wydobył z niej pakiecik obwiązany włóczką.

— Co to jest? zapytał zdziwiony.

— Albo ja wiem?... zobacz.

W pakieciku był we dwoje złożony chleb z masłem, szynka i ser szwajcarski.

— Tyś mi to wsunął Łasiecki?

— Dalibóg, że nie.

nim dopiero w cztery lata po rozpoczęciu ery kompromisowej.

Radzę przeczytać także z Teki Stańczyka „Rozmowę pana Piotra z panem Pawłem", która była wywołaną, jak mówią wydawcy dzieł Szujskiego, krzykiem podniesionym na początek Teki. Jest w tej rozmowie między innemi stwierdzenie przez samych Stańczyków, już nie wiem po raz który, że Galicya „po ostatnich wielkich wypadkach postanowiła trzymać się rozumu politycznego", czyli „wyrażając się nie tak górno, kraj nauczony doświadczeniem po prostu zmądrzał, a co ważniejsza w tem zmądrzeniu wytrwał[1])." Rozmowa stara się udowodnić, iż Teka była potrzebną, bo się zjawiały objawy „drugiego systemu", ale nie zaprzecza, że zwolenników tego systemu była „tylko garstka[2])." Warto też zanotować, iż na końcu rozmowy wynurza się boleść, że Kraj ma więcej abonentów od Czasu, a Przegląd polski czytany jest głównie przez tych, co otrzymują gratisowe zeszyty, i tych, co te gratisowe zeszyty pożyczają. Dowodzi to, co zresztą było i jest powszechnie wiadomem, iż Przegląd polski rozchodził się w małej ilości, a więc też i mały wpływ mógł wywierać.

Jednocześnie z Teką Stańczyka ukazała się wspomniana już parokrotnie broszura Szujskiego: „Odpowiedź Mateusza Żórawia". — Z niej dowiadujemy się dosyć ciekawych rzeczy o zachowaniu się konserwatystów krakowskich (jeszcze nie stańczyków) po uchwale 2 marca 1867 roku i rezolucyi z r. 1868. Kiedy delegacya wysłana przez Sejm przybyła do parlamentu, Beust wezwał do siebie Ziemiałkowskiego, Zyblikiewicza, Adama Potockiego i Krzeczunowicza, obiecując im spełnienie żądań polskich, jeżeli delegacya polska będzie głosowała za adresem. Szujski gromi te układy, już dla samej zasady, bo „wszelka zła czy dobra cena za głosy jest rzeczą wstrętną", a powtóre, ponieważ „interes był zły", gdyż dotrzymano tylko parę obietnic[3]). Później dowiadujemy się o jakimś obiedzie w Hietzingu, w którym wzięło udział czterech węgrów, czterech „grafów niemieckich" oraz czterech hrabiów polskich: Adam Potocki, Henryk i Ludwik Wodziccy i Stanisław Tarnowski. Dzienniki oddane Ziemiałkowskiemu podniosły krzyk na „alians" oligarchicznych i klerykalnych żywiołów". Szujski z całym zapałem przeczy podobnej insynuacyi, gdyż było to tylko „przypadkowe" zebranie wskutek tego, „iż węgier jeden oświadczył p. Adamowi Potockiemu uprzejmą chęć poznania kilku jego przyjaciół". Sami jednak wydawcy dzieł Szujskiego prostują w przypisku „niewinność" tego obiadku, bo mówią, iż „celem całego spotkania była, jak się pokazało, próba, czy Polacy nie daliby się sprowadzić z zasadniczego stanowiska i zawrzeć sojusz z niemcami i węgrami, a poświęcić słowian i swoje autonomiczne zasady". A więc bądź co bądź konserwatyści i przyszli stańczycy byli „probowani", a sam skład obradujących (czterech grafów niemieckich, czterech węgrów i czterech hrabiów polskich), dowodzi, iż próba ta poza plecami delegacyi polskiej była z góry obmyśloną[4]). Dalej dowiadujemy się z broszury, jaką walkę staczano w delegacyi polskiej przed głosowaniem nad konstytucyą. Większość delegacyjna oświadczyła się głosować za nią, czyli iść dalej drogą kompromisową, ale mniejszość była temu przeciwną. Giskra, ówczesny prezydent izby, mówił do Zyblikiewicza: „powinienbyś pan zaprzestać tej agitacyi przeciw konstytucyi. Wszystkim wiadomo, że jest was ledwie kilku, którzy się opieracie, żeby przeciw niej głosować. Obalić jej i tak nie zdołacie, pocóż próżną manifestacyą narażać się na niechęć całej izby i rządu, zwłaszcza kiedy większa część samych posłów polskich gotowa jest głosować za konstytucyą." Ale mniejszość delegacyi, wśród której znajdowali się Tarnowski i L. Wodzicki, agitowała dalej i groziła złożeniem mandatów. Rezultatem tej agitacyi było, iż przy trzeciem czytaniu delegacya polska głosowała przeciw konstytucyi[5]). Czy zrobiła dobrze czy źle, nie chcę wydawać sądu, ale że ta droga, na jaką delegacyę sprowadziła mniejszość konserwatywna wraz z przyszłymi stańczykami, nie byłą kompromisową, nikt temu nie zaprzeczy.

Do tej mniejszości, jak stwierdza Szujski w swojej broszurze, nie należał Alfred Potocki, naprzód dla tego, że już 2 marca był za wysłaniem delegacyi, a powtóre, gdyż będąc członkiem Izby panów, nie mógł należeć do izby poselskiej. Ale kiedy zaproponowano mu, aby przyjął tekę w ministeryum, mniejszość poszła „drogą utylitarną" i oświadczyła się za wejściem jego w skład gabinetu[6]). Szujski dowodzi, że nie było w tem żadnej niekonsekwencyi. Być może — każdemu wolno mieć swoje zdanie — ale przypomina się sprawa 2-go marca, w ktorej mniejszość przeciwna wysłaniu delegacyi przyjmowała do niej mandaty, co Szujski i Tarnowski sami nazywali niekonsekwencyą. Delegacya głosowała przeciw konstytucyi, a zgodziła się, aby Potocki wszedł do gabinetu na podstawie tej konstytucyi utworzonego. Sprawa ta tem więcej się uwypukli, jeżeli nie zapomnimy, iż jednocześnie ofiarowano tekę Ziemiałkowskiemu, twórcy 2-go marca i zwolennikowi ustępstw i kompromisów, a ten odmówił, „bo nie mógł stać się wykonawcą konstytucyi, przeciw której głosował". — Z tego wszystkiego wniosek, że owa mniejszość, do której przyszli Stańczycy należeli, miała bardzo wygodną zasadę: stać niezłomnie przy zasadach i nie stać przy nich ze względu na utylitarność.

I jeszcze jeden fakt na stwierdzenie drogi kompromisowej przyszłych stańczyków. Szło o potwierdzenie przez izbę zarządzonego stanu oblężenia w paru miejscowościach czeskich. Większość postanowiła przyjąć milcząco to rozporządzenie do wiadomości, ale mniejszość, w imieniu której przemawiali Adam Potocki i Szujski, była za opozycyą. Nastąpiła potem sprawa wnie-

[1]) Dzieła Szujskiego serya III, tom II. str. 62.
[2]) L. c. str. 81.
[3]) L. c. str. 127 i 128.
[4]) L. c. str. 130.
[5]) L. c. str. 130—138.
[6]) L. c. str. 139.

— Już wiem — mruknął Smolarz wstępując na relsy.

— Ona. Ej, głupie serce, czemuż mi ono tak mocno stukneło.

— Może się wrócisz Franek, jeszcze czas.

— O nie, teraz nie, niech wszystko złe pójdzie najpierw w niepamięć. Ale poproszę cię jeszcze o jedno. Jak będziesz mi kiedy pisał o Anulce, napisz mi także o niej dobrze?

— Dobrze!

Za chwilę pociąg gwizdnął i ruszył z miejsca, unosząc naszego bohatera w dalekie nieznane kraje. Wychylony przez okno, spoglądał on długo jeszcze na niknący krajobraz rodzinnych stron i żegnał w myśli wszystko, wszystko...

— Bądźcie zdrowe drzewa moje, stare sosny i ty Rudy, co płyniesz przez doliny, i ty chatko z okrąglaków, gdzie mieszkali ojcowie, i ty krzyżu za Kozową, i wy dwie topole wysokie, i ty moja najmilsza, ty moja niedobra.... bywaj mi zdrowa.... bywaj mi zdrowa....

A pęd wiatru rozwiewał mu włosy i ciągnął za nie przemocą napowrót do swoich.

K O N I E C.

St. Czałut.

WSPOMNIENIA
Z LEGII ZAGRANICZNEJ.

(Ciąg dalszy.)

Pod wieczór podjąłem się pójść napowrót do żyda po zakupione towary. Nieprzyjemna mi była ta misya, tembardziej, iż podówczas mnóstwo oficerów i niższych przełożonych po mieście zazwyczaj się kręci. Kupiec był tyle dla mnie usłużnym, że dał mi do pomocy chłopca arabskiego, który cały towar, opakowany w papier, niósł przedemną w koszu. Nagle przystępuje do mnie żandarm i znak daje, by przystanąć. Toć „na złodzieju czapka gore", a i ja aż struchlałem z przerażenia w przekonaniu, że kompania już mnie szukać każe. Tymczasem wachmistrz pyta tylko, czy nie znam w kompanii tego a tego, gdyż pilny ma do niego interes. Odpowiedziałem przecząco, jak też i rzeczywiście nie znane mi było nazwisko poszukiwanego żołnierza. Po niemiłej tej przerwie dostałem się szczęśliwie, mijając gromady legionistów, do czekającego na mnie Gałeckiego.

Jako miejsce przebrania wybraliśmy sobie cmentarz arabski. Tam w cieniu kolosalnych cyprysów złożyliśmy nasze mundury skarbowe, zwinięte w dwa zawiniątka i wdzieliśmy na siebie zakupione kostyumy. Miałem chęć zabrania z sobą jako jedynej pamiątki z legii mej „ceinture". W tym celu chciałem owinąć ją na gołe ciało, gdyby powijak, jak to nawykliśmy czynić podczas nocnego spoczynku.

— Na Boga — odzywa się adjutant, — nie zabieraj Pan nic doszczętnie. Wszak każda sztuka munduru ma odstęplowanie regimentu i matrykułę właściciela. Jeżeli nas pochwycą, natychmiast wiedzieć będą, żeśmy legioniści. Zresztą ten pas nie Pańską jest własnością, a to powinno być wystarczającem dla Pana, by nie zabierać go z sobą!

— Ależ mój adjutancie — odparłem, — czy zostawiając nasze umundurowanie tu na cmentarzu, mamy pewność, że takowe oddane zostanie do pułku? Toć lada Arab spieniężyć je może, więc lepiej już, że ja sam pas ten zabiorę. Będę miał pamiątkę wieczną, mając w swem posiadaniu wiernego towarzysza z Algieryi.

— Jeżeli tak błahy powód przeważa nad własnem bezpieczeństwem — odpowiedział Gałecki — to odepnij Pan swój medal Tonkiński od munduru, który i ja z sobą zabieram. Ale spieszmy się, bo noc nie długa, a my tylko nocą maszerować będziemy.

Zostawiłem „ceinture", odpiąłem od uniformu medal srebrny na żółtej i białej wstążce, na którym był napis: „*Souvenir de Tonkin*" i dokończyłem przebrania.

Spojrzawszy na mojego adjutanta mimo

sienia rezolucyi galicyjskiej do Rady państwa, co nie przyszło do skutku. Zakończył się wreszcie niebawem cały ten okres polityki galicyjskiej w r. 1873 „wyjściem delegacyi z Rady państwa i wejściem na drogę abstencyi. I tu znów przyznać musimy, żeśmy bicz na siebie ukręcili sami“ — mówi w kilka lat później pan Stanisław Tarnowski[7]).

Przyznanie się to p. Tarnowskiego wyjąłem z artykułu: "Obrachunek Przeglądu polskiego po 10-ciu latach istnienia“. Napisany on został w r. 1876, a więc w jedenaście lat po wejściu Galicyi na drogę kompromisową, w dziesięć po założeniu Przeglądu polskiego, w siedm po napisaniu Teki Stańczyka. Był to już więc, zdaje się, czas dostateczny do zajęcia przez stańczyków odpowiedniego w polityce galicyjskiej stanowiska i do pochwalenia się sukcesem swojej działalności. Nie można już, pisząc o tych czasach, mówić o „przyszłych stańczykach“, gdyż stańczycy istnieli już rzeczywiście. P. Tarnowski przedrukowując obecnie „Obrachunek“ w swoich studyach politycznych (Kraków 1895) tłomaczy się, iż „wprawdzie artykuł ten dotyka wielu kwestyi, dziś przestarzałych i obojętnych“, w każdym razie określa wiernie zasady i dążności, a opisuje dokładnie zamiary i czynności grona ludzi czy stronnictwa, do których autor jego należał i zawsze należy, a ztąd artykuł ten może się kiedy w przyszłości komu przydać“. Prorocze słowa!

Artykuł ten przyda mi się bardzo, aby rozwiać do szczętu i tak już zdaje mi się rozwianą blagę Rzeczy Koźmianowskiej.

„Dziesięć lat temu, trzech lub czterech ludzi, młodych podówczas, zawiązało się w redakcyę pisma perjodycznego w nadziei, że potrafią coś zrobić i na coś się przydać“ — oto prawie pierwsze słowa „Obrachunku“ p. Tarnowskiego. Ale „choć było trochę usiłowań, z nadziei tych nie było skutków“ — zapewnia zgodnie z prawdą pan Tarnowski. „Jest widoczne i wszystkim, a nam samym najlepiej wiadome to, że jesteśmy pobici: pobici w tem wszystkiem, cośmy robili, lub przynajmniej robić chcieli“, (str. 84). „Z myśli i zasad, których broniliśmy przez te lat dziesięć, żadna nie weszła w życie, z naszych nadziei żadna się nie spełniła, z walk, jakie nam prowadzić się zdarzyło, żadna nie skończyła się zwycięztwem“. Przytoczywszy na to dowody, pan Tarnowski przechodzi do skreślenia pobieżnego dziejów Galicyi. Czytamy tam między innemi, co następuje: „Gołuchowskiego administracya więcej nam nierównie zrobiła dobrego, niżeśmy go sobie sami przez lat dziesięć zrobili“. Krytykuje dalej p. Tarnowski całą politykę galicyjską, wszelkie „łapanie się na grzeczności i obietnice“; mówi o zwrocie na gorsze w stosunku do monarchii (str. 114) o sprowadzeniu sejmów do znaczenia dużych rad powiatowych (str. 114) obawia się, że język polski dany nam nie na mocy ustawy, może być odjęty [str. 90] narzeka na organizacyę szkół (str. 90) na samowolne reskrypty ministeryalne, które ją naruszyły itd. A u siebie — pyta się p. Tarnowski — czyśmy się posunęli naprzód? „Zyskaliśmy wiele przez rządy śp. pana Gołuchowskiego[8]), przez znaczną liczbę dobrych i zdolnych urzędników, których on wykształcił, przez zamknięcie spraw serwitutowych, którego dokonał. Podnosiły się drogi i szkoły, przybyło w niektórych szczęśliwych powiatach porządku i cywilizacyi. Stosunek do panującego domu zmienił się korzystnie, ale zawdzięczamy to głównie cesarzowi. Prócz tego pozostaje jako nabytek Akademia Umiejętności. Ale po za tem, którą ze spraw dziesięć lat temu rozpoczętych rozwiązaliśmy szczęśliwie i dobrze? — pyta p. Tarnowski. I na to nie znajduje dodatniej odpowiedzi (str. 118). Przytacza na dowód sprawę ruską, gminną i t. d., — „ażebyśmy lepiej nasze sprawy rozumieli i z lepszą do nich brali się wolą, tego nie znać“. W końcu mówi o stratach w ludziach, o zubożeniu kraju, zadłużeniu majątków, przechodzeniu gruntów włościańskich w ręce żydowskie — „a z tego obrachunku pokaże się po latach dziesięciu smutny rezultat, że jesteśmy pobici wszędzie i na wszystkich punktach pobici“ (str. 121).

Powyższe przypomnienie dziejów prowincyi, potrzebne było p. Tarnowskiemu „do lepszego przypomnienia własnych“. Przyznaje się, że założyciele Przeglądu mieli „młodociane iluzye, kiedy zaczęli wydawać pismo. Myśleli, że w niem przybędzie pewna siła i środek działania dla żywiołów zbliżonych do siebie przekonaniami. Ale żywioły te nie były gotowym materyałem na stronnictwo“. I kiedy pan Koźmian w Rzeczy najuroczyściej zapewnia, że grono

[7]) Studya polityczne tom I. str. 104. Ponieważ dla skrócenia wywodów pomijam dalszy udział stańczyków w polityce galicyjskiej po roku 1869, muszę więc choć w przypisku zaznaczyć, iż stronnictwo krakowskie, a z niem stańczycy wiodło wciąż dalej walkę z Ziemiałkowskim — przedstawicielem polityki ugodowej. Doszło do tego, że kiedy po rozwiązaniu w r. 1870 przez Alfreda Potockiego sejmu galicyjskiego, nowy sejm wybierał nową delegacyę, stronnictwo krakowskie, przy wyborze do tej delegacyi jednego z czterech posłów lwowskich, dało wszystkie swe głosy w ilości 23 lakiernikowi Dąbrowskiemu, nie chcąc dać głosów ani Smolce, ani Ziemiałkowskiemu. W skutek tego przyszło do ściślejszego głosowania i wówczas stronnictwo krakowskie głosowało za Smolką, który w danej chwili przedstawiał najradykalniejszy, najczerwieńszy odłam w sejmie. Smolka, najgwałtowniejszy przeciwnik wysyłania delegacyi, mandat przyjął. — Muszę także w tem miejscu, bo gdzieindziej nie będę już miał sposobności, zaznaczyć jeszcze jedno przyznanie się stańczyków, że nie stanowili własnego stronnictwa. Szujski napisał do „Czasu“: „Kilka uwag przed sesyą sejmową r. 1869“. W przypisku do tego artykułu, przedrukowanego w zbiorze dzieł Szujskiego, zaznaczają wydawcy, iż artykuł ten wskazywał „jak wyobrażała sobie postępowanie sejmu z roku 1869 grupa posłów, która w sejmie kupiła się około Adama Potockiego i Henryka Wodzickiego“. A więc nie było stronnictwa, była tylko grupa — a stańczycy na ochotnika „kupili się“ przy Ad. Potockim i H. Wodzickim.

[8]) Ten świętej pamięci pan Gołuchowski jest wysoce charakterystycznym. Nie trzeba zapominać, że stańczycy go nie kochali, a on im się odpłacał wzajemnością. Przypominam choćby głośny artykuł p. Tarnowskiego „Porcye“, przeciwko któremu Gołuchowski w urzędowej Gazecie lwowskiej wystąpił z formalną nagankę za pomocą protestów, które nie liczyły się z słowami i epitetami, określając wystąpienie autora „Porcyi“. Nawiasem mówiąc, prawda w tym razie była w znacznej części po stronie pana Tarnowskiego i dla tego dziwnem się wydaje, iż w swych Studyach politycznych, w których nawet znalazło się miejsce na odpowiedź na toast uczniów, p. T. „Porcye“ całkiem opuścił.

---

poważnej sytuacyi parsknąć musiałem od śmiechu. W kostiumie arabskim znoszonym i miejscami dziurawym, tak komicznie wyglądał i tak dziwacznie się ruszał jak pajac w cyrku. Do tego pincenez na nosie, które stale nosił dla krótkiego wzroku, uzupełniało obraz tragi-komiczny.

— Na brodę proroka — rzekłem głosem stłumionym — najpodlejszy Beduin zapałby się Pana w tak nędznem ubraniu! Burnus dziurami świeci, zamiast rzemieni u sandałów postronki, dali Bóg, wiedział żyd komu sprzedać.

— Tylko ciszej, mój kochany panie — odparł na to Pseudo-Beduin — toć i pan wyglądasz raczej na stracha w prosie, niż na hiszpańskiego kolonistę. Bluza za krótka, spodnie za krótkie, kapelusz za wielki, lecz mniejsza o to wszystko, nie będziemy podpadali w drodze, jak byśmy niezawodnie podpadać musieli, świecąc nową z igły garderobą.

Rozdzieliliśmy potem prowiant na równe paczki, zaszyli pieniądze papierowe w rozmaitych miejscach ubrania i ruszyli zostawiając mundury pod jednym z olbrzymich cyprysów. Czy one wróciły do depotu nie wiem, tyle tylko już w tem miejscu nadmieniam, że z Żurychu napisałem do majora Levaniera, tłómacząc me zbiegostwo, i do szefa mej izby Ullmanna z pokwitowaniem pożyczonej mu kwoty, a w obu listach doniosłem o miejscu depozytowem mundurów naszych.

Maszerowaliśmy noc całą bez przerwy ku północy. Choć Sidi-bel-Abbes miało kolej, wsieść na nią uważaliśmy za zbyt niebezpieczne. Zamiarem naszym było, dopiero na jakiejbądź stacyi linii głównej użyć drogi żelaznej. Linię tę przy obranym kierunku musieliśmy koniecznie przeciąć gdziekolwiek, gdyż, jak to już wyżej była mowa, ciągnie się ona od Oranu do samego Tunisu, a więc przez całe kolonie.

Pragnienie w marszu tym dokuczało nam okropnie. Zabraliśmy kilka butelek wina i koniaku, lecz trunki te, zamiast gasić pragnienie, zwiększały je po każdem użyciu..

Głodu natomiast nie cierpieliśmy bynajmniej, mając dostateczne zapasy wędlin, sera i konserw.

Maszerując na przełaj ciągle a ciągle na północ bez względu na drogi, omijaliśmy jak najostrożniej wszelkie osady arabskie. Tylko raz jeden, zmusiło mnie pragnienie mimo zaklinań Gałeckiego, zbliżyć się w pobliżu wsi do cysterny i napić do syta. Ah, jakże smakowała ta woda mętna, bo deszczowa, i cuchnąca od nieczystości i starości. Tylko w Afryce można się w podobny sposób uraczyć, niczem europejskie szampany, małmazye i madery w porównaniu z temi zlewkami ohydnemi ze studni subtropicznej!

Przez dzień odpoczywaliśmy, nocą za to jak najwytrwalej dążyliśmy wciąż na północ. Kostyum mój o tyle okazał się niepraktycznym, że był za lekkim na chłodne noce tamtejsze; mimo szybkiego marszu drżałem nieraz jak liść osikowy.

Bez najmniejszego przypadku dotarliśmy wreszcie, nie pomnąc już w jakim miejscu i po ilu dobach, do szyn kolei żelaznych.

Był wieczór, kiedyśmy na maluteńką przybyli stacyę, by się rozpatrzeć w rozkładzie jazdy.

Zażądaliśmy biletów do Oranu.

Przypadek zrządził, iż na stacyi naszej krzyżowały się pociągi Orański i Algierski.

Tu jednak zdarzył się pierwszy niemiły wypadek. Nie zasięgając zasadniczo informacyi od nikogo wsiedliśmy w fałszywy pociąg, a dowiedziawszy się o tej pomyłce dopiero od kontrolera biletów nie zdążyliśmy już wskoczyć do właściwego.

Niemiła ta zwłoka spowodowała i stratę pieniężną, gdyż nikt w świecie nie byłby nas nakłonił, przy nieczystem naszem sumieniu, żądać prolongaty biletów na pociąg dnia następnego. Spędziliśmy noc opodal dworca pod mostem kolei żelaznej, puściliśmy się rychło rano za nowemi biletami ku Oranowi. Ostrożność naszą posuwaliśmy do tego stopnia, iż każdy z nas zajmował miejsce o ile możności w innym przedziale i wogóle jeden z drugim nie rozmawiał zgoła. Już przez cały czas drogi prowadziliśmy tylko półszeptem rozmowę, a i tę nawet tylko w przypadku koniecznym. Taka jest siła nieczystego sumienia.

W całej Algieryi przy każdym pociągu zjawia się patrol, złożony z 3 żandarmów. Na większych stacyach patrol ten ma nawet na dworcach mieszkanie. Nam nieświadomym tego wydawało się koniecznie, że żandarmi ci wyraźnie w tym celu na pociąg przybyli, by za nami śledzić. Prze-

krakowskie miało gotowy program, że stworzyło już szkołę, która przystępowała do walki, „aby zaprowadzić patryotyzm polityczny, dokonać wszystkiego co możliwe“ p. Tarnowski pisze: „mówiąc to, prosimy o wiarę i zaręczamy najsumienniej, że przed dziesięciu laty jak i dziś nie myśleliśmy stronnictwa tworzyć, tem mniej niem kierować. Nic roszcząc sobie praw, ani tem bardziej nie pragnąc stać u steru, pragnęliśmy tylko .. być jednym z głosów opinii, nie głową stronnictwa patryotycznego, rewolucyom przeciwnego, nie jego ręką nawet, ale jego jednym palcem“. Dalej ubolewa p. Tarnowski, że Przegląd był osamotniony, że „choć każdy jego redaktor z osobna miał swoją chwilę powodzenia i swoją miarkę (czasem za wielką), pochwał i powinszowań, ale żywego stosunku między pismem a publicznością tą, z którą związku pragnęło, nigdy nie było“. Widocznie mówił pan T. konserwatyści nie potrzebują jeszcze „własnych publicystycznych organów i zbiorowego działania w stronnictwie“ (str. 124). Ta obojętność była przykrą, ale znajduje pan Tarnowski pociechę w tem, że Przegląd stawał po dobrej stronie, że „pomagał wprawdzie mało, ale tyle, ile mógł do wytłomaczenia konieczności związku polityki polskiej z austryacką“ (str. 125). Opuszczam ustępy o uchwale z 2-go marca, o rezolucyi itd. Nareszcie Przegląd zaczął wydawać Tekę Stańczyka, „sam nie wiedząc, że podejmuje dzieło tak znaczące i skuteczne...“ „Przypadkiem i nie chcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię jako stronnictwu. A nie tyle cieszyliśmy się z tego, że nam się to dostało, ile z tego, że nadane imię... nada spójność, całość, indywidualność jednakim i rozproszonym pojęciom i usiłowaniom, że da nietylko nazwę i sankcyę, ale i rzeczywistą organizacyę stronnictwu[9]).“ Rok wydrukowania Teki Stańczyka przyniósł Przeglądowi równocześnie „znaczenie i szkodę“, bo dwóch jego redaktorów powołano do uniwersytetu (Szujskiego i Tarnowskiego), „a jeżeli to dla nich było szczęściem, to dla pisma było stratą, bo obowiązki profesorskie nie dozwalały im poświęcić Przeglądowi tyle czasu, uwagi i pracy, ile mu mogli dać przedtem“ (str. 136). Stwierdza więc p. Tarnowski, że Przegląd podupadł pod względem wartości, że po „Tece“ stał się „blady“, że kwestyi bieżących politycznych nie traktował, „ani dosyć na ilość, ani dość gruntownie na jakość“. Ostra krytyka Przeglądu zajmuje parę kartek. Ale chcąc Przegląd utrzymać na wysokości, „trzeba było zwycięztwa odniesionego w imię tych prawd, którośmy bronili, a my walczyliśmy w zastępie nie mnożącym się wcale“. Dalej wspomina p. Tarnowski o zarzutach ze strony najbliższych, którzy nawet podejrzywali katolicyzm redaktorów Przeglądu[10]). Przyznaje p. Tarnowski, że Przegląd był przeciwny gwałtownemu występowaniu w rzeczach religijnych, gdyż nie widział w kraju „przeczenia katolickiej wiary“. Jako dumę Przeglądu przytacza autor jego kroniki polityczne podczas... wojny francuzkiej — „na razie nie przypominam sobie nic w publicystyce europejskiej tak świetnego jak... kronika o Sedanie p. Stanisława Koźmiana“. Po tej koleżeńsko-przyjacielskiej reklamie, (pod tym względem bractwo stańczykowskie doszło do najwyższego majsterstwa), wspomina autor o swojej „Królowej Opinii“, która była wymierzoną przeciw przedstawicielom dziennikarstwa lwowskiego. Ale „faworyci faworytami zostali“. Opuszczam znowu parę kartek obojętnych dla moich wywodów i znajduję wzmiankę o głośnych „Porcjach“, artykule, który „poróżnił nas ze wszystkimi“. „Po tych „Porcjach“ Przegląd bał się nawet mówić o bieżących krajowych sprawach... nakazał sobie mówić o Galicyi i jej sprawach jak można najmniej.“ Była chwila, że poprostu postawili sobie redaktorowie Przeglądu pytanie, czyby lepiej nie zawiesić jego wydawnictwa. „Istotnie pismo, które przez dziesięć lat nie zdołało stać się potrzebnem, które zdobyło sobie czytelników i przyjaciół tak mało, że o własnych siłach stać ledwo może, którego koło czytelników zatrzymało się na pewnej, bardzo skromnej mierze, po za którą nigdy się nie rozszerzyło a w ostatnich czasach jeszcze się ścieśniło, pismo takie musi mieć w sobie jaki defekt organiczny. Czy są nim małe zdolności redaktorów, czy ich przekonania i dążności, czy ich osoby? Nie wiemy, może to wszystko razem, ale coś być musi, bo skoro inne pisma utrzymywać się mogą, to mogłoby i to, gdyby przekonaniom i smakowi czytających lepiej odpowiadało“. Smutne te refleksye ciągną się jeszcze dalej: „Przegląd jest bez wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy, oszkalowany, opłwany, tak, że nie zostało na nim suchej nitki, jednego zdrowego, niezranionego, niezbitego miejsca“. Powodem tej goryczy była głównie zaznaczona już przezemnie powyżej w przypisku sprawa „Porcyj“. Przypominam, że w artykule pod tym tytułem podniósł p. Tarnowski wyzyskiwanie ludu przez szlachtę, zwłaszcza we wschodniej Galicyi. Artykuł ten, podyktowany duchem wysoce obywatelskim, mówił chlubnie o uczuciach i o rzeczywistej w tym razie odwadze cywilnej autora. To nie była drwiąca Teka Stańczyka, to nie były inne artykuły autora, którym często nie można było zaprzeczyć sporo słuszności, ale które wymierzone były przeciw przeciwnikom politycznym — to był głos pełen szlachetnego oburzenia przeciw ludziom, jeżeli nie- wła-

[9]) Tu z przykrością dla siebie musze zauważyć, iż p Tarnowski, którego artykuł w ostatnich dniach dopiero czytałem, uprzedził mnie w określeniu powstania stronnictwa stańczykowskiego, gdyż od samego początku pisania mojej recenzyi o Rzeczy miałem zamiar wykazać, iż stańczycy nie zrobili sie sami, ale zrobili ich przeciwnicy. Wogóle jeżeli stańczycy kiedykolwiek mieli jaki sukces, zawdzięczali go zawsze przeważnie naiwności, lub niedołęztwu swoich przeciwników.

[10]) Czynił to między innymi ks. Golian, który wedał nawet broszurę przeciw Przeglądowi pod tyt. „Moderanci“ w r. 1871. Była to odbitka artykułu umieszczonego w Przeglądzie lwowskim. Ks. G dowodził, że „większą szkodę niż liberali i bezbożni, przynoszą Kościołowi umiarkowani moderanci — a przedstawicielem moderantyzmu ex professo jest „Przegląd polski“. Wogóle w Przeglądzie lwowskim spotykamy ciągle naganę stanowiska Przeglądu polskiego w sprawach katolickich. P. Koźmian dostaje cięgi np. za wyrażenie się „o wyemancypowaniu się myśli z objęć Kościoła“. „Gazeta narodowa“ z przyjemnością cytowała artykuł p. Koźmiana, w którym gromił duchowieństwo wielkopolskie. Z Przeglądem lwowskim polemizował Szujski.

---

przeciąg całej mojej kolejowej włóczęgi do Oranu i z Oranu do Algieru, nie widziałem w obawie o własne bezpieczeństwo zgoła nic, prócz budynku stacyjnego i owej fatalnej trójki w trójgraniastych kapeluszach ze sznurami u mundurów niebieskich; w całej tej podróży naliczyłem przeszło 120 żandarmów, z których każdy w mych oczach wzrokiem ostrowidza nas szukał. A któż dopiero jest w stanie określić mój niepokój ducha, gdy w dalszej podróży jakiś żandarm starszy tuż obok w wagonie zajął miejsce i przez kilka godzin mnie nie odstępował. Potrzebowałem wytężenia wszelkich sił umysłowych, by módz odpowiadać na grzeczne jego zapytania.

W Oranie ubraliśmy się na sposób europejski, nie wykwintny, jednak porządny, i nie rażący krojem i starością. Celem naszej podróży była Hiszpania. Nie widząc jednak okrętu hiszpańskiego w porcie, chciałem pierwotnie ze swej strony udać się do konsulatu niemieckiego i na neutralnym jego gruncie zażądać pomocy w dalszej podróży. Lecz niepodobna było rzucić towarzysza, którego podczas długiej wspólnej włóczęgi tem bardziej polubiłem. Gałecki zaś dowodził mi, że jeżeli nie w Oranie, to na każdy sposób w Algierze, jako wielkiem mieście portowem, znajdziemy okręt, który nas zawiezie na półwysep pyrenejski, zkąd, jako już z miejsca bezpiecznego, o dalszej miano radzić ucieczce.

Podążyliśmy więc ku Algierowi. Pociąg wiozący nas nie dojeżdżał dnia tego samego do stolicy, przerywał swą jazdę o godzinie 10 wieczorem na stacyi *Rélizanes*. Wiedzieliśmy o tem z kupionych podręczników jazdy i zgodziliśmy się wysieść na tej stacyi, pójść nocą do następującej „*les Salines*“ i z tamtąd resztę drogi do Algieryi odbyć koleją.

Każdy z nas znów do innego siada wagonu. Jedziemy aż do samego wieczoru, nie widząc jeden drugiego, wreszcie pociąg stawa, wyciągam zegarek, widzę, że to czas, gdzie Rélizanes miało być osiągnięte i w przekonaniu tem wysiadam z coupé dla większego bezpieczeństwa drzwiami tylnemi, wychodzącemi nie na stacyę, tylko na równe pole. Oryentuję się jednym rzutem oka na gwiazdę polarną co do kierunku, jaki mi wziąść trzeba i dążę naprzód, by kilkaset metrów przystanąć i czekać na Gałeckiego. Lecz czekając daremnie z dobrą godzinę nad torem kolejowym, do którego znów się zbliżyłem, postanowiłem tedy zwolna iść dalej, myśląc, że Gałecki może dalszym łukiem niż ja ku następnej zdąża stacyi. Inne przeczucie znów mi przypuszczać kazało, że mój towarzysz, nieostrożnie frontowemi drzwiami wagonu wysiadając, wpadł w ręce patrolu, i im dłużej wszelkie możliwości i prawdopodobieństwa ważyłem, tem mocniej zakorzeniało się we mnie ostatnie przekonanie. Niewymowny żal mnie ogarnął i zgnębiony rzekomą stratą wiernego towarzysza wolno postępowałem naprzód. Nareszcie blask świateł wskazuje mi, że niedaleko stacya. Któż jednak opisze moje zdziwienie, gdy patrząc na napis stacyjny czytam wyraźnie: Rélizanes. To nowa zagadka, którą sobie tłómaczę jak mogę najlogiczniej. „Musiałeś — mówię do siebie — czekając tak długo na Gałeckiego, pomylić kierunek w tej okolicy jednostajnej, obróciłeś się mimo wiedzy wstecz i podążyłeś znów na stacyę, na której wysiadłeś. To możliwe, zwłaszcza, że niebo chmurami powleczone, a ty kompasa się nie radziłeś. Szkoda niepotrzebnie przebytej drogi“.

I podążyłem raźniej już w ściśle rozważonym kierunku dalej, gdyż noc jeszcze była, a przyszły pociąg ku Algierowi dopiero koło 9 rano odchodził. Nie chciałem prócz tego, tułając się na dość znacznej stacyi, narażać się na spotkanie z ludźmi. Nad ranem stanąłem na małej przystani nazwiskiem: les Salines. Sama nazwa powiada, iż miejscowość ta leży w okolicy licznych tutaj słonych jezior. Koło stacyi biwakował malowniczo szczep beduiński. Wody do picia na stacyi wcale nie było, dowoziła ją beczkami regularnie kolej zkądinąd.

Ponieważ dotychczas jeszcze towarzysza mego nie było, umocniło się we mnie przekonanie, iż wpadł w sidła żandarmów i miałem go już za niechybnie straconego.

Jeszcze kilka godzin czasu miałem do odejścia pociągu. Przechadzanie się moje po peronie zwróciło uwagę dozórcy tam stacyonowanego, który z karabinem na ramieniu pełnił swą służbę. Wszczął ze mną rozmowę, o celu i punkcie wyjścia mej podróży. Przedstawiłem mu się jako malarz-turysta z zawodu, pochodzenia holenderskiego, jadący z Oranu przez Tunis do Włoch. Ponieważ wody do picia nie było

snego, to bratniego pokrewnego obozu. Pan Tarnowski powiedział prawdę swoim, a mówić prawdę swoim, to rzecz niebezpieczna, to narażanie się na pociski najboleśniejsze, mogące każdego ubezwładnić. To też grom po gromie padał na Przegląd i p. Tarnowskiego ze strony prawie całej szlachty i arystokracyi. Kampania była prowadzona pod wodzą Gołuchowskiego, (który był wówczas po raz trzeci namiestnikiem), a ztąd ciosy były silne i potężne. Jeżeli pan Tarnowski nie upadł pod niemi, to zawdzięcza to jedynie temu, że był Tarnowskim, hrabią Tarnowskim powiedzmy, chcąc rzecz lepiej uwydatnić — chudopachołek za taką prawdę byłby na zawsze zdeptany. Położenie Przeglądu i jego wydawcy stało się rzeczywiście tak przykre, grono krakowskie tak zostało osamotnione, że Przegląd „o mało wychodzić nie przestał“, (str. 153) ale namyślono się dalej go wydawać, a to dla tego, że „mógł się jeszcze może przyczynić do podtrzymania polityki polsko-austryackiej“, bo wreszcie sądził, iż „jego także po części zasługą powstrzymanie kraju na drodze agitacyi“. Zresztą „doraźnego, zupełnego, wielkiego skutku nie spodziewaliśmy się po nim nigdy, nawet w samych początkach; tem mniej dziś po tylu latach i tylu doświadczeniach“. Kończą się te smutne refleksye słowami: „Dla tego nieczytani, niesłuchani, pozbawieni niby racyi bytu, wychodzimy jeszcze: dla tego pobici zawsze i wszędzie na całej linii i na wszystkich jej punktach dajemy się bić dalej“.

Streśćmy tę spowiedź: Przegląd, zaręcza p. Tarnowski „najsumienniej“ nie był założony, aby stworzyć stronnictwo lub niem kierować. Z myśli i zasad, których bronił przez lat dziesięć, „żadna nie weszła w życie“, z jego nadziei „żadna się nie spełniła“, z prowadzonych przez niego walk „żadna nie skończyła się zwycięztwem“. To, co kraj uzyskał przez te lat dziesięć (przez innych), było dla p. T. prawie niczem. Gołuchowskiego administracya nierównie więcej zrobiła, niż konserwatyści i stańczycy. — Wszystkie najważniejsze sprawy nie zostały rozwiązane. Przegląd był osamotniony, nie miał abonentów, ani czytelników. Stronnictwa Przegląd nie stworzył — spójnię pomiędzy garstką go otaczającą zawdzięcza przeciwnikom. Wysilił się na Tekę Stańczyka i zaraz podupadł. Najbliżsi go podejrzywali, — zastęp jego „nie mnożył się wcale“. Cała pociecha, że p. Koźmian pisał ładne kroniki polityczne... o Sedanie. Doszło do tego (po Porcjach), że Przegląd mówił jak można najmniej o Galicyi i miał upaść „z braku czytelników i przyjaciół“, których koło się ścieśniło. Pozostał bez „wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy“. Stańczycy zostali „pobici zawsze i wszędzie, na całej linii i na wszystkich punktach.“

Uzupełnijmy sobie ten obraz przypomnieniem tego, co mówił Popiel o Stańczykach, co nam podały sprawozdania sejmowe, co pisał Szujski, co wiemy wreszcie z dziejów idei kompromisowej — a uwydatni nam się jeszcze lepiej współczucia godna dola Stańczyków i zupełna prawie ich nieobecność w sprawie torowania nowych dróg wewnętrznej i zewnętrznej polityce kraju, owszem uwydatni nam się, jak na tych torach kładli oni kamienie, które inni odsuwali.

A p. Koźmian mówi, że... e! czy warto już zastanawiać się nad tem, co p. Koźmian mówi!?[11]).

---

11) Przerywamy w tem miejscu wyjątek z dzieła p. Bartoszewicza, gdyż jak się dowiadujemy z listu autora, druk jego książki został ukończony i już za dni parę znajdzie się ona w handlu księgarskim. To przerwanie o tyle jest nam nie na rękę, że właśnie przychodzą nadzwyczaj ciekawe ustępy, a mianowicie przedstawienie stanu Galicyi i jej rozwoju za „panowania stańczyków“, oraz rozdział poświęcony programowi politycznemu trzech naszych dzielnic. — Przyp. Redakcyi. |

---

a żona jego miała wino i koniak dla użytku gości na sprzedaż, kupiłem sobie, by i ją ująć, butelkę wina, kazałem podać coś do zjedzenia i płacić chciałem, kiedy dozórca, bliżej oglądając sztukę monety tak się do mnie odezwał:

— Ależ panie, nie masz Pan francuzkiej monety? Toć to hiszpańska, która kursuje w Oranie, a u nas tylko w życiu prywatnem ma walor. Za wino i przekąskę możesz pan mi zapłacić, lecz biletu zań dać mi panu nie wolno.

Byłem w kłopocie nie małym, co począć. Biletu stufrankowego zmieniać nie mogłem mając papierowe pieniądze zaszyte za futrem marynarki, a srebrnej monety innej nie miałem, jak hiszpańskiej. Tymczasem jeszcze coś około 20 franków było mi potrzebnych na wykup biletu kolejowego do Algieru.

Grzeczna urzędnika kolejowego małżonka wybawiła mnie jednak z tego ambarasu. Jadąc od czasu do czasu na targ do Orléansville, łatwo zbyć mogła moje srebro hiszpańskie, oświadczyła więc gotowość zmienienia mi potrzebnej sumy na walutę francuską. Podziękowawszy za grzeczność uprzejmie, wykupiłem bilet i wyszedłem na peron, gdyż pociąg z Rélizanes każdej chwili nadejść musiał.

(Dokończenie nastąpi).

LITERATURA I SZTUKA.

Co dało życie.

Ja wiem, że muszą zerwać się ogniwa,
Które nas łączą, duszy mej śnie jasny,
I że nie tyle dłoń losu je zrywa
Ile brak ognia w piersi twojej własnej. —
Wiem, że ta miłość, w którą moje serce
Wlało porywy swoje najgoretsze,
Choć mi z twych oczu zabłysła w iskierce,
Nigdy nie wnikła w serca twego wnętrze;
Że byłem dla cię jak kaprys przelotny
W szeregu mnogich, coraz nowych wrażeń,
Że u twej piersi duch mój był samotny
W świecie swych marzeń.

Ja wiem już dzisiaj, że niema na świecie
Owej harmonii duchów doskonałej,
O której we snach roi się poecie,
Gdy swe nieziemskie ściga ideały;
Że gdym na ciebie, pragnieniem omamion,
Zlewał najwyższe duszy mej zachwyty,
Tom ja sam skrzydła przypiął ci do ramion
I na ich piórach wznosił się w błękity; —
Że moja myśl to i czucie gorące
Słonecznym blaskiem biły z twego czoła:
Tak brylant martwy aż promienne słońce
Blask zeń wywoła.

Ją wiem to dzisiaj, ale się nie żalę,
Że cię tak bardzo sercem ukochałem,
Bom u stóp twoich śnił o ideale,
Choć ty nie jesteś owym ideałem;
Bo z uczuć moich i z krwi mej serdecznej,
Co wrzała warem kiedym patrzał na cię,
Wysnułem cały świat widzeń słoneczny,
Wszystkie zaklęte w me pieśni postacie;
Bo w życiu marnem jako wiatru tchnienia
Chwilę przeżyłem wzniosłemi porywy,
I ja — proch ziemi — doznałem złudzenia
Żem był szczęśliwy!

A więc — chociażby ciężka losów ręka
Z koleją czasu złamała me siły,
Chociaż na ustach zastygnie piosenka,
Przyćmią się oczy, co na cię patrzały;
Jeśli z Przeznaczeń srogiego wyroku
Tak długie pasmo lat mi się zakreśli,
Że w starym trupie, snującym się w mroku
Nikt się już śladu uczuć nie domyśli: —
Ja wówczas jeszcze — ilekroć źrenice
Wzniosę ku kwiazdom na wieczornem Niebie —
To aby dawne odczuwać tęsknice
I kochać ciebie!

Tak kochać ciebie; bo i cóż jest we mnie,
Coby się z twoją nie zlało istotą?
Jak kropla deszczu rozpłyniona w Niemnie,
Duch mój się z tobą zlał wieczną tęsknotą.
Jam się krwią moją w twe żyły przesączył.
Wszak drga w eterach pieśń, co nam przebrzmiała?
Snów piewcy sercem ludzkiem jam dokończył:
Ideał pierzchnął — miłość pozostała.
I gdy po życiu zgaszonem jak płomie —
Znów nas przyroda w swem wnętrzu pogrzebie,
W każdym powstałym z mych prochów atomie
Będzie część ciebie!

Adam M-ski.

Do ***

Rozsnuły mgławic srebrne się tęcze,
Po kwiatach stąpasz i mchach,
Rozchwiane fale toczą obręcze
Kołysze smerek się w snach.

Dla ciebie w wiośnie lilie uplotą
I fiołki w barwny się zwój,
I słowik pieśni nuci z tęsknotą,
Za tobą raju ty mój. —

Za tobą czekam na róż posłaniu,
Rosa wśród listków drzy róż, —
Wiem ja, że przyjdziesz o zórz zaraniu,
Cóż łzy więc znaczą wśród róż? —

Jarogniew.

Z literatury polskiej.

Andrzej Niemojewski: „Majówka“.

„O jak daleko ten świat za nami,
Gdzie kwitły róże pogody!
O jak na świecie jesteśmy sami,
Ideje, ludzie, narody!“

W poezyi zajął Andrzej Niemojewski od razu wybitne i odrębne stanowisko. Na tę odrębność składa się przedewszystkiem śmiałość i szczerość, z jaką poeta wszystko co czuje, wyraża. Zdaje się, że dla niego ustępstwa nie ma, nikt też zapewne żadnego jego utworu nie nazwie „uprzejmym“, przytem poeta nikogo ze żyjących nie naśladuje. Najodrębniejszemi z dzieł Niemojewskiego są dwie dotąd wydane serye „Poezyi“ i cykl „Polonia irredenta“. W „poezyach prozą“ jest autor szczególnie sobą, mianowicie w „Bajce noworocznej“, „Helotce“, „Nad brzegiem Dunajca“ i w „Pali się“, mniej już w pozostałych i w „Majówce“. Tu jego poprzednikiem nie jest kto inny, jak Heine. Lecz nie jest to Heine-erotyk, niedościgniony artysta w oddawaniu najsubtelniejszych uczuć sentymentalizmu, ale poeta

wieszcz, reformator, marzyciel, hardy nadewszystko wobec istniejących ustaw i powag.

„Majówka“ i formą i duchem, przypomina mniej swawolne od „Atta Troll“, ale nierównie głębsze w idei „Niemcy“. Jak Heine ze stolicy Francyi do Niemiec, tak Niemojewski wybiera się z Warszawy w okolice Płocka, do wsi rodzinnej. Mniejsza przestrzeń, mniejszy też zakres „Majówki“. W „Niemczech“ wszystko tchnie duchem szerokiego kosmopolityzmu, w „Majówce“ trochę więcej miejscowego zabarwienia. Z Paryża wypędza Heinego niewytłumaczona, a tem właśnie silniejsza tęsknota za krajem, Niemojewskiego nęci szeroka przestrzeń pól i przezrocza dal, by wyrwać się z gwaru miasta, odetchnąć świeżem powietrzem, zapomnieć o troskach gniotących, o smutkach niesłuchanego reformatora, które, jako kruki, zasiadły mu na czole, tej „kopule jego ducha“. Prometeuszowe walki i wzloty Ikara dziś nikogo już nie wzruszą, światu trzeba „śmiechu i zysku“. Na coś innego nie ma czasu, — „na krwawe wyruszył świat łowy, za naganiaczy sprosił narody, sam przodem na oślep leci.“. „Po za nim litość rozdziera szaty, on pędzi zdobywać wieczność, w ręku miast berła kula armaty, nad czołem sztandar-konieczność“. Więc niechaj pierzchają smutki, gdy ich nikt nie słucha! Teraz przecie trzeba przestrzeni i słońca, „więc w dal na majówkę!“ więc rzucić mu na czas pewien Warszawę: to „nimfa bruków lekka i płocha, w której sam autor zdawna się kocha, jak szkólny żak — bez pamięci“, to owe miasto syrenie, co „jako wszystkie kobiety, w kamieniach swojego łona wielkiego, serca nie ma niestety, lecz drobnych serc pół miliona“.

I tak w cudny ranek wybiera się poeta parowcem, Wisłą, w podróż do Płocka. Zaraz na początku pieści jego oczy ulubiony widok: mąż-słońce — poeta często zestawia podobnie rzeczowniki — idzie na dzień dobry do Warszawy-kochanki. Powietrze cudne, a na podróż starczą mu pieniądze, zebrane za „Poezye prozą“, starczą mu dla niskiej ceny, która się dzięki walce konkurencyjnej między dwoma właścicielami parowców, żydem i polakiem, nakoniec unormowała. A że poeta nasz jedzie parowcem, należącym do polaka, spełnia tem samem „czyn dla idei“. Cóż się w ogóle dla niej, tej idei, nie robi? „Nieraz na krzyżu dla niej się ręce rozpina, wodząc wzrok mętny po tłumie z wiarą, że przyjdzie wielka godzina, w której ten tłum nas zrozumie“. Lecz są ideje, które łatwiej pojąć można, jak naprzykład „rzecz popularna idei niebieskich oczu“. Taką myśl zbudziła w poecie sąsiadka. Ale niebawem tak się w te jej modre, bezdenne oczy zapatrzył, że ojciec właścicielki błękitów poczuł się do obowiązku zakrzyknięcia: „Hej, panie, to moja córka!“ Gotową awanturę autor załagodził przedstawiając się i ojcu i matce i córce. Odtąd wolno mu już było czynić to po przedstawieniu, co przedtem nie uchodziło. Niestety, wprawdzie nowo zabrana znajomość przyczyniła się do zjedzenia wspólnego śniadania, lecz ojciec panny, tłusty jegomość, począł nudzić nowego znajomego długą rozmową. I tak dowiedział się poeta od niego, że jest radzcą w komitecie, że jedzie do Płocka „na licytacyę sąsiada“, że już uciułał sobie kapitalik“, który przekaże na córkę, którą by wydał i — za poetę. Ale tu jął się skarżyć na tych wybrańców muz, że „dawnego błędu nie mażą zaletą nową“, że nie znają poszanowania dla starszych i krytyką swą, choćby i czasem słuszną, „kompromitują tylko naród“. „O! to tylko prądy rozkładcze mogą szarpać uczciwe nazwiska i mieszać dawną spokojność błogą, lecz kraj nic na tem nie zyska!“ Wiele jeszcze innych rzeczy mówił opasły jegomość, lecz poeta wszystkiego nie spamiętał, zwłaszcza, że nieraz spoglądał na córkę, a w końcu słowa, turkocące jak koła w młynie, tak go sennie usposobiły, że począł drzemać na dobre.

I śniło mu się, że wiodą go na rynek w mieście o stylu semickiej budowy, że ma cierniową koronę na głowie, a krzyż ciężki na plecach do ziemi go przygniata, że tłum rzuca na niego błotem. Na rynku zasiadł „Geniusz Głupoty“; ten „olbrzym“ sądzić go będzie. Sąd wypadł po myśli rozpasanego tłumu i nierozumnej gawiedzi, przybito go do drzewca, a napis nad nim położono „Marzyciel“. U stóp krzyża klęczała we łzach kobieta. Wtem zbliżył się opasły olbrzym i utkwił mu włócznię w piersi, a krew trysnęła ze zranionego boku...

Nim się zupełnie ocknął, radca już raz drugi dał mu kułaka pytając: „I cóż pan na to!“ Nastąpiła komiczna sytuacya, i matka i ojciec i córka zawtórowali śmiechem. Lecz nagle rozległ się głuchy trzask: to statek osiadł na piasku. Autor i większa część podróżnych dostała się na drugi nadjeżdżający parowiec żyda Fajansa.

W ten sposób snuje się dalej wątek „Majówki“; sporo tam satyry, sporo Ikarowych wzlotów. Jak u Heinego poeta wspomina Chrystusa, jego dolę nieszczęśliwego reformatora i swoją dolę do jego przyrównuje. Dzieje się to najpierw we wzmiance o ideach, dzieje się to później we śnie powyżej przytoczonym. Heine się zwraca w trzynastym rozdziale swoich „Niemiec“ wprost do Chrystusa na krzyżu przydrożnym rozpiętego, we śnie zaś walczy przeciw „trzem królom“, tym „szkieletom zabobonu“, we śnie rozmawia i sprzecza się z Fryderykiem Rudobrodym. Rozmowę Heinego z ojcem Renem zastępuje w „Majówce“, rozmowa Wisły-wnuczki z dziadkiem-Płockiem, Skarży się wnuczka, że dziadek-Płock i stryj-Kraków i wszyscy tak dzisiaj „zapadają na nogi, że z miejsca ruszyć się nie mogą“. Za to ciocia Warszawa stanowi w tym względzie wyjątek: „Dziadziu kochany, byłam u cioci-Warszawy, tej zdrowie służy, puszcza się w tany i bez niej nie ma zabawy“.

Z Płocka jedzie autor kuryerką do wsi rodzinnej. Jak Heine wspomina na wpół drwiąco, na wpół rzewnie dawnych znajomych i charakteryzuje ich tak i tu w podobny sposób zajmuje się Niemojewski „obywatelem z nad Wisły“. A przedstawia on się smutno: wąsy mu owisły“, czoło zachmurzone, a w butach straszne dziury. Tego smutnego wrażenia nie zaciera wcale dom rodzicielski poety. Tu wszyscy tak przyzwyczajeni tylko do smutnych wieści, że autora witają raczej z obawą, niźli z uciechą. Pierwszem pytaniem sióstr do brata: „Jędrku, powiedz, cóż znowu się stało?“ Lecz brat szybko chmurę troski rozpędził i począł rozmawiać ze siostrami. One słów jego dobrze nie rozumieją, jak wogóle i przedtem nigdy brata zupełnie nie pojmowały, „zawsze był trochę dziwakiem“, tylko to jedno ze słów jego teraz im również zrozumiałe, że „nie masz radości, nie masz wesela: ach, jeno smutek jest trwały“. I raz drugi śród rozmowy brat swoje im myśli wyjawia, i raz drugi: „Drogi braciszku, szepcą dziewczyny, zawsześ był trochę poetą, lecz dziś pojmujem ciebie, jedyny, choć każda prostą kobietą. Widzim, że tonie m, próżny frasunek! Nieraz my ręce łamały, czyliż jest dla nas jaki ratunek, gdzie tylko smutek jest trwały“. Na to brat wskazuje im szeroki świat, „gdzie łzy, gdzie żałość, gdzie męka, gdzie głuchną majowe szumy, gdzie duch wciąż pada, wstaje, gdzie obłąkane pieje on dumy i jakieś nowe śni maje“. Cała ta rozmowa, choć na nierównie wyższym poziomie stoi, jednak żywo przypomina nam rozmowę Heinego z matką w rozdziale dwudziestym „bajki zimowej“. Tu i tam przedstawiona różnica między stanem duchowym jednych i drugich.

Jak tu, tak i wogóle często „majówka“ na wyższą nastrojona nutę niż „Niemcy“. Nastrój ten wzbija się w rozdziale dwunastym do sfer podniebnych hymnu na cześć „marzycielstwa“, reformatorstwa i duchowego postępu, bo autor nasz dla materyalnego znajduje, jeśli nie słowa potępienia, to słowa odtrącającej rezerwy. Dzieje się to w „Majówce“ zaraz po owym „hymnie“ w pieśni następnej na wspomnienie Ciechanowickiej cukrowni. Mija on ją, wracając pociągiem do Warszawy.

Do Warszawy! tam pole jego działania. Poznał on ją „w domu niewoli, jak za grosz hańby cześć swą sprzedawała“. A chciał ją „z domu niewoli wykupić za skarby duszy, za milion naszej tytanicznej woli, za milion naszych katuszy“. Tymczasem „tłum zalotników, motłoch duchowy, gawiedź w szewioty przebrana, subjekci w togach“ zaprzątają uwagę Warszawy, że nie może śród wrzasku niepowołanych głos ludzki się przedrzeć do niej. I ta Warszawa zostaje Ledą, co „nierząd prowadzi z ptactwem“ niegodnem. Na tem kończy się „Majówka“.

Niezaprzeczalne więc zachodzą podobieństwa pomiędzy „Majówką“ a „Niemcami“, a do tego wszystkiego przyłącza się i rytm podobny. Mimo to wewnętrzna różnica pokrewnych formą i motywami utworów jest znaczna. Różnica ta polega niezawodnie na różnicy dwóch natur. U Heinego więcej krytycyzmu nad sobą samym, krytycyzmu nawet nad ukochanemi ideami. A krytycyzm ten prowadzi Heinego tak daleko, że staje się w oczach nierozumnej gawiedzi wyuzdanym cynizmem. Lecz do takiego bolesnego „cynizmu“ dochodzą tylko duchy subtelne i wzniosłe, przed takim cynizmem dłoni skorej do rzucenia błotem potępienia zasię! Inaczej, jak z Heinem, ma się rzecz z naszym autorem. Taki sam z niego gorący marzyciel, taki sam nieugięty bohater idei, lecz miast uśmiechu, częstokroć boleśniejszego od łzy, wisi na ustach, na czole jego chmura poważnej zadumy. Idea jest dla niego dogmatem i czci ją jak dogmat. Dwa duchy pokrewne a jednak różne: z jednej strony aryjczyk mężny, wierzący i pewny, z drugiej semita zacięty, krytyczny, wątpliwościami targany!

K. F. Wize.

Z estrady i sceny.

Na wyżyny.

Dramat w 5 aktach przez L. Ganghofera. Tłom. Z. Cichocka.

Na scenach naszych nazwisko Ganghofera rzadko się pojawia i, o ile mi wiadomo, dramat „Na wyżyny“ jest pierwszą sztuką tego autora, ktora doczekała się polskiego przekładu. A przecież talent to oryginalny i świeży, stąpający śmiało gościńcem tego południowo-niemieckiego realizmu, na którem Anzengruber i kilku pomniejszych poetów (n. p. Marco Brociner) ślady swoje znaczyło utworami prawdziwej wartości. Dramat „Na wyżyny“, wystawiony w ubiegłą sobotę w teatrze naszym, najmniej może jest charakterystycznym dla talentu Ganghofera, który indywidualność swoją zamanifestował silnie w sztukach ludowych o bawarskim podkładzie lokalnym jak *Herrgottsschnitzer*, *Processhansl*, *Geigenmacher* itd. Niewątpliwie jednak ten królujący koloryt miejscowy stanął na przeszkodzie szerszej popularyzacyi jego utworów i dziwić się nie można, że pani *Cichocka* z szeregu Gangho-

ferowskich dramatów ten właśnie literaturze naszej przyswoiła, który odznacza się barwą ogólno-ludzką bez obfitszych tonów ściśle lokalnej natury.

Dla nas, których smak literacki wykarmiła świetna technika nowoczesnych Francuzów i Skandynawów, sobotnia premiera trąci gdzieniegdzie pleśni zapachem. Czuć ją w dyalogach i monologach, czuć w charakterystyce działających osób. Ów stempel Ganghoferowskich utworów, na którym krytyka niemiecka wyrazem „Echtheit“ zapisała uznanie swoje, tu w bladych jeszcze występuje barwach, a realistyczny twórca takiego *Herrgotss hnitzer* prezentuje się w dramacie *„Na wyżynach“* jako lubownik błyskotek i sensacyi. To też krytyka doktrynerów realizmu, odsądzająca zazwyczaj od wartości wszelkie utwory, których do ciasnej szuflady przykazań swoich zmieścić nie może, przejdzie bez wątpienia nad sobotnią sztuką do porządku dziennego, — zdrowy eklektyzm literacki jednak, szukający w dziełach poezyi nie doktryny, lecz talentu, złoży ręce do oklasku wobec dramatu, prężącego od początku do końca uwagę publiczności i wstrząsającego miejscami siłą perypetyi swojej.

Motyw utworu nie nowy. „Na wyżyny“ pnie się jeden z owych żelaznych ludzi Nietzschowskiego pokroju, dla których moralność chrześciańska zwie się moralnością niewolników. Silnym jest, więc depcze, — z prochu wspina się na szczyty, więc w przepaść strąca wszystko, co nogi mu wiąże. Rysunek tej postaci i plastyka nie pozostawia w pierwszych aktach nic do życzenia, szkoda tylko, że w końcu konsekwencya opuszcza autora i żelazo w wosk się zamienia. Gregory Stark, kamienny bohater dramatu, człowiek o żelaznych nerwach i miedzianem czole stara się o rękę Pauli, córki fabrykanta Söllmana. Paula kocha innego, lecz Gregory rezygnacyi nie zna. Druzgoce wszystkie przeszkody, jak demon potężny ujarzmia ojca, nagina gwałtem stosunki i już wyciąga rękę po ofiarę swoją, gdy w drodze staje mu Helena, dawna kochanka. Więc ją zabija.... Od tej chwili drugi człowiek zjawia się na scenie. Nikt nie domyśla się autora zbrodni, a mimo to brutalny i śmiały aż do zuchwałości karyerowicz zaczyna drżeć jak listek osiny. Przebiegłość i energia zostają za kulisami. Bezradny, niezręczny i przerażony rzuca się po scenie, strach odbiera mu przytomność, strach myśli mroczy obłędem, strach wreszcie w śmierć się zamienia. Gregorego zabija paraliż. Autor niemiecki poświęcił tu logikę typu dla wstrząsających efektów końcowych. Finał sam w sobie, jako całość zamknięta, oderwana od reszty dramatu, wywiera nader silne wrażenie, lecz jako ostatnie ogniwo łańcucha psychologicznego jest sztucznie przyklejoną błyskotką. Konsekwentniejszą jest charakterystyka innych postaci utworu, lubo tu i owdzie razi bladość kolorytu i nader pobieżne, mniej niż szkicowe traktowanie rysunku.

Nadmieniam wreszcie, że Ganghofer wplątał zręcznie w swój utwór palącą kwestyę chwili obecnej: walkę kapitału i pracy — fabrykanta i robotnika. Po za dramatem psychologicznym rozgrywa się wielki dramat społeczny, po za śmiertelnemi zapasami jednostek wielkie zapasy klas. Połączenie tych dwóch żywiołów dokonane jest po mistrzowsku. Żadnego wysiłku, żadnego lutowania, — wszystko łączy się organicznie i tętni wielką siłą dramatyczną.

W roli Gregorego wystąpił pan *Skirmunt* i grą doskonałą dowiódł przy samym końcu sezonu, że talent jego nie umarł, tylko się zdrzemnął w zimowych miesiącach. Miałem nieraz żal do artysty tego, widząc jak lekceważy i szablonowo traktuje zadania swoje, a żal ten był tem większy, że nie wątpiłem ani jednej chwili o bogactwie zaniedbanego talentu. Na pożegnanie przeprosił pan Skirmunt publiczność, a ekspiacya ta była pięknem objawieniem artyzmu. Gregory jego był w pierwszych aktach jak wcielenie stali i kamienia o głuchym, demonicznym spokoju, a sceny końcowe — strach i obłąkanie wstrząsały potęgą prawdy tragicznej. Godną siebie partnerkę znalazł pan Skirmunt w pannie *Pankiewicz*, która momenty naiwnego wesela, kiełkujących podejrzeń i mściwego gniewu odtworzyła z zadziwiającym realizmem. Mimika jej nie zagrała nigdzie fałszywym akcentem, a głos drgał tak szczerem uczuciem, że widz zapomniał o usterkach wymowy, właściwych tej subtelnej artystce. Rola Heleny jest niewątpliwie jedną z najlepszych kreacyi w repertuarze panny Pankiewicz.

Paula pani *Jakubowskiej* miała dużo swobody i wdzięku, lecz rola ta nie leży w zakresie talentu sympatycznej artystki. Pani Jakubowska stara się zawsze w chwilach dramatycznych wydobyć efekt siły przez nadmierne markowanie poszczególnych wyrazów, — ztąd dyalog staje się sztucznym i sztywnym. Wolę stanowczo śmiech tej artystki, wolę jej figlarne spojrzenie i dąsy, niż ból i uniesienia tragiczne. Z innych artystów zasługuje na wyszczególnienie pan *Knapczyński*, którego gra zdradzała zrozumienie i staranne opracowanie typu, oraz pan *Skóraczewski* w świetnej sylwetce buntującego się robotnika. Pan *Grabowiecki* był bladym, bardzo bladym w roli Günthera, kochanka Pauli.

W. R.

TO I OWO.

Spekulacya i pruderya.

Warszawski „Kuryer Codzienny“ ogłosił konkurs na powieść, który powitaliśmy z szczerem zadowoleniem. Dwa warunki tego konkursu jednak budzą w nas pewne wątpliwości, bo obniżają wartość igrzysk literackich, na które zaprasza ruchliwy dziennik warszawski.

Oto sędziami mają być czytelnicy. Większością głosów będzie zaliczony do nagrody utwór, najbardziej przypadający do smaku publiczności. Jakkolwiek komitet konkursowy wzywa wszystkich powieściopisarzy naszych, wątpimy jednak, czy wobec takich warunków będą mieli odwagę wystąpić najbardziej utalentowani. Czem jest sąd owej różnobarwnej publiczności, przekona się ten, kto przejrzy kartki jakiego arcydzieła literatury np. w czytelniach bezpłatnych:„ Ta książka nic nie warta“, „Ta książka jest głupia“, „Ta książka jest nudna i wcale niezabawna“. Takie są dopiski, poczynione przez czytelników ołówkiem na marginesach utworów, które nas entuzyazmowały, których uczyliśmy się niemal na pamięć. Niedawno spotkałem młodzieńca na raucie, bawiącego gości deklamacyą. — „Czemu panowie deklamujący — zapytałem go —, nie nauczycie się prześlicznego wiersza Konopnickiej „Za oceanem?“ — „Ja nie uznaję Konopnickiej — odparł mi na to —, nudna, przesadna!..“ Przypominam ogłoszoną przez jedno z pism obcych odezwę do czytelników: jaka książka w życiu najbardziej im się podobała? Ktoś odpowiedział, że podręcznik stolarstwa, inny — że historya o królewnie neapolitańskiej, jeszcze ktoś, że „Życie św. Genowefy“. Kiedy Sienkiewicz pisał swoją „trylogię“ i drukował w odcinkach gazet, podobno czytelnicy zasypywali go listami z prośbą, ażeby nie uśmiercał swoich bohaterów i kończył powieści w ten sposób: „I ja tam byłem, miód i wino piłem...“ Rozumiemy gorącą chęć redakcyi zjednania sobie możliwie największej liczby abonentów, chociażby za pomocą połechtania ich miłości własnej, lecz spekulacya taka wpłynąć musi ujemnie na rezultat konkursu.

Niestósownem wydaje nam się także owo zastrzeżenie podane w warunkach konkursu, ażeby powieść przedstawiała się w salonie pod postacią skromniutkiej dziewczki z oczami spuszczonemi i stanikiem zapiętym pod samą szyję. Dopóki pismo w roli bawiciela stara się dogadzać kaprysom i nawyknieniom swych czytelników, póki zaprzężone do ich dyszla, stara się chodzić po wązkich ścieżkach, póty jeszcze zasługuje na pobłażanie. Ale skoro usiłuje powieści przystosować do wymagań pensyonarki, szwaczki, dewotki lub „panie dobrodzieju“ tego, co prenumeruje gazetę dla ogłoszeń, to już zamach oczywisty na literaturę powieściową, od którego redakcya Kuryera codziennego odstąpić powinna. Konkurs stanie się wtedy dziełem prawdziwie humanitarnem.

* * *

Jasnowidząca.

Od kilku tygodni paryżanie, jedni sceptycznie, drudzy z naiwnością wierzących, zajmują się panną Couedon, jasnowidzącą, nawiedzioną, jak sama twierdzi, przez anioła Gabryela. Panna Couedon ma lat dwadzieścia kilka i dopiero mniej, więcej od roku wpadła w stan obecny, przepowiadając przyszłość najstraszniejszą Francyi, oraz coraz to liczniejszym osobom, pragnącym się dowiedzieć, co anioł Gabryel o nich myśli.... Jasnowidząca udziela audyencyi bezpłatnie i zdaje się, że jest szczerze przekonana o swej misyi, również jak jej rodzice, ludzie skromni, średniej zamożności, lecz jak najlepszej opinii. Zarzucićby im tylko można, że zamiast zawezwać lekarza specyalistę chorób nerwowych, pogorszają stan zdrowia swej córki, zezwalając, by tłum ciekawych odwiedzał ją i badał a zatem rozdrażniał i podniecał. W jednej z ostatnich kronik tygodniowych Franciszka Coppeego spotykamy te słowa o młodej jasnowidzącej z ulicy Paradis: „Ze sprawozdań dziennikarskich widzę, jak dotąd, ze ta nieszczęśliwa dziewczyna nic jeszcze nie powiedziała ciekawego i nie wiem, czy opętaną jest przez anioła, czy też przez szatana, lecz kiedy te nadprzyrodzone potęgi zdecydowały się do nas przemawiać jej ustami, mogłyby się wyrażać poprawniejszym stylem i bardziej sensacyjnie! To nie przeszkadza, że Paryż tylko o niej mówi: ludzie odwiedzający ją tłoczą się i wyczekują swej kolei przed drzwiami, a ulica Paradis nigdy nie widziała tyle pięknych powozów, co teraz przed domem biednej chorej. Podobno w pałacu arcybiskupa paryzkiego panuje ztąd wielkie niezadowolenie, lecz przypomnijmy sobie, że trzydzieści parę lat temu wyższe duchowieństwo dyecezyi Tarbes gromiło i prześladowało Bernadetę, co nie przeszkadza, że ojcowie obsługujący grotę w Lourdes popieranymi są dziś przez stolicę apostolską i gromadzą nieprzebrane skarby, znoszone im przez wierzące tłumy“. Artur Meyer w dzienniku swoim „le Gaulois“ zawiadamia z pewnego rodzaju otuchą w lepsze dni dla Francyi, że książę Henryk Orleański był u jasnowidzącej przy ulicy Paradis i wyszedł głęboko zamyślony pod wrażeniem słów, jakie od niej słyszał. Pomimo nalegań, młody książe nie wyjawił tajemnicy, powierzonej mu przez anioła Gabryela, mówiąc, że są to sprawy tak ważne, iż nie na-

leży zdradzać je przedwcześnie. Jaka szkoda! — lecz szkoda nie tego, że się nic dowiemy tajemnicy, którą ks. Henryk pragnie zachować tylko dla siebie, lecz szkoda, że jest tak wrażliwy, bo obniża to wartość opisywanych przez niego podróży, jakie odbył po mało dotychczas znanych górach Azyi środkowej.

Dziennik „l'Eclair" zapytał się doktora Guinon ze szpitala Salpêtrière, co myśli o jasnowidzącej z ulicy Paradis?... Znakomity specyalista chorób nerwowych odpowiedział: „Panny Couédon nie widziałem, a trudno stanowcze dać określenie co do jej stanu na zasadzie tego, co się o niej czyta w dziennikach. Jednakże z tego, co dzienniki mówią o jej postępowaniu i słowach, jest ona, mojem zdaniem, obłąkaną, lub pozostaje w stanie somnabulizmu. Jeżeli jest obłąkaną, to obłęd jej przybrał bardzo zwyczajną formę religijną, łączącą się z mistycznemi halucynacyami prorokowaniem itd. itd., widzimy podobne wypadki bardzo często i początkowa ta faza wkrótce przemienia się w niebezpieczniejszą, chorzy ulegają następnie obłędowi wielkości, manii prześladowczej itd. W każdym razie ci, którzy stanowią najbliższe otoczenie tej nieszczęśliwej dziewczyny, „nawiedzonej przez anioła Gabryela" powinni czemprędzej wezwać pomocy lekarzy, tak w jej własnym interesie, jak też tych wszystkich, którzy mają dziś ułatwiony przystęp do niej. Zważywszy jednak, że chora pozostaje w stanie obecnym od sierpnia roku zeszłego, sądzę, że jest pogrążoną prawdopodobnie w stan somnabulizmu i ulega chwilowym atakom i ekstazom. Lecz raz jeszcze powiadam, że wina wielka spoczywa na tych, którzy, zamiast przywołać doktora, narażają dobrowolnie chorą na podniecenie i wywoływanie ataków histerycznych, jakim podlega".

* * *

Reformator z Pacanowa.

Powstał nam wielki reformator, poprostu mąż opatrznościowy! Zowie się Sobiesław hr. Mieroszowski; dobro społeczne mając na względzie, wydał wspaniałą broszurę p. t.: „W sprawie reformy dziennikarstwa". Pomyślcie tylko, pan Mieroszowski raczył bystrem a dostojnem spojrzeniem ogromy ludzkości dziennikarskiej przeniknąć z końca do końca, poczem wystąpił jako refomator. Genialność tego umysłu olśniewa wręcz czytelnika i wprowadza go w błogi nastrój. Zaznaczyć należy, iż pan Mieroszowski należał przez pewien czas do grona prawodawców galicyjskich, jako członek sejmu krajowego. Nie lubi on dzienników, uważając dziennikarstwo za identyczne z judaizmem i socyalizmem: proponuje zatem, ażeby upaństwowiono inseraty lub odjęto je drugorzędnym dziennikom, ażeby podniesiono stempel dziennikarski, który dziś w Austryi wynosi *jeno* 2 helery ($1^3/_4$ fen.) od każdego egzemplarza codziennych czasopism, ażeby zniesiono drukarnie prywatne a wydawano tylko dwie gazety: jedną „rządową", drugą „krajową"... Ach, resztę genialnych wniosków pominąć musimy! No cóż, czy na te ciężkie czasy taki pan nie jest mężem opatrznościowym? Obawiamy się tylko, czy będzie dostatecznie rozumiany!... W każdym razie Sobiesław hr. M., były poseł na sejm galicyjski, może być spokojnym: ród Mieroszowskich wydał jednego sławnego męża; Rudułowice, gniazdo hr. Sobiesława (koło Jarosławia), gotowe konkurencyę robić Pacanowowi, gdzie tylko kozy a nie projekty reform się kują...

Na Wyłomie.

(Nasze porażki. Ich przyczyny. Zewnętrzne i wewnętrzne hamulce rozwoju).

W walce, rozgrywającej się od lat kilku na poznańskiej ziemi pod hasłem młodych i starych, klerykalizmu i liberalizmu, solidarności i secesyi, ugody i opozycyi, — zwycięstwo dotychczas stale towarzyszy konserwatywno-lojalnym żywiołom. Przyznajemy to bez zastrzeżeń, nie symulując siły i powodzenia, nie upiększając żadnej porażki i nie mistyfikując społeczeństwa telegramami o „jednym zabitym Kozaku".

Szturmujemy do dziś dnia napróżno okopy wstecznictwa, lecz słowo „napróżno" nie jest dla nikogo z nas niespodzianką. Ruchowi, który zgniłą ciszę poznańskiej piwnicy zamącił wrzawą wojenną, nie przyświecała nigdy nadzieja, że z Cezarowem „*Veni, vidi, vici*" jak huragan pójdzie po kraju i w mgnieniu oka przeczyści duszną, zatęchłą atmosferę. Każdy z nas wiedział, że walki naszej z potęgą panujących stronnictw doraźny rezultat uwieńczyć nie może, nikt z nas nie wątpił, że postępowe pobudki muszą mieć zrazu więcej pedagogiczne znaczenie, muszą przyzwyczaić naród do nowych haseł i niwecząc jednostronność wpływów dotychczasowych, wykarmić inne pokolenie o horyzontach szerszych, twardsze i zuchwalsze. W chwili, gdy pierwsza trąbka wojenna zagrała, chodziło nam przedewszystkiem o przeciwstawienie Dziennikowo-Kuryerowym ewangeljom *księgi* postępowej, której cały zabór pruski nie posiadał, a która spełniać miała na razie nie tyle bojowe ile *wychowawcze* zadanie. Uczyć! — to pierwsza dewiza. Koryto życia naszego zasilały od lat 20 wyłącznie źródła konserwatywno-klerykalne i wodę tę mętną piło całe społeczeństwo. Stworzyliśmy nowe dopływy, odsłoniliśmy inne widnokręgi i mówimy: Pijcie i patrzcie! Lata całe miną niezawodnie, zanim z tej siejby pedagogicznej wyrosną świeże generacye — wielkie legiony bojowników, lecz prędzej czy później staną one przy nas lub po nas i nie my, to one zdobędą okopy.

Porażki same więc nie przedstawiają nic zatrważającego, bo wypływają z natury położenia i założenia całego ruchu, — doświadczenia dotychczasowe nawet nasuwają przypuszczenie, że dzieło reformy napotka znaczniejsze przeszkody, niż w przedświcie postępowej opozycyi zdawało się młodym budzicielom. Jednym z tych hamulców rozwoju naszego, nie ocenionym należycie w zaraniu reformy, jest niesłychane obniżenie poziomu moralnego w całem społeczeństwie poznańskiem. Na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu odbyło się u nas systematyczne zamrażanie cywilnej odwagi i wszystkich idealniejszych pierwiastków duszy ludzkiej, a skutek jest ten, że staliśmy się wielkim teatrem, gdzie tłum komedyantów przybiera pozy i kostyumy podyktowane komendą reżyserów i autorów, a zaledwie ten i ów bez maski i domina zjawia się na scenie. Są jednak chwile, w których tym tysiącom wielkich i małych aktorów spadają fałszywe brody i peruki, w których zapominają lekcyi wyuczonej i własnym głosem przemówią, a wtedy zdziwieni poznajemy nagle, że przepaść, która ich od nas dzieliła przed chwilą, nie jest tak szeroką, że świat naszych myśli i wierzeń jest również ich światem i tylko ich kłamstwo, ich bojaźń, ich niewola w służbie konwencyonalizmu rozcina obrus między wyznawcami jednych ołtarzy. Gdyby tak nagle na wielkich paradach i rewjach „ładu i porządku" jakie bóstwo złośliwe odsłoniło głębiny dusz konserwatywnych, jakież dziwy ujrzeliby generałowie zardzewiałej armii. Niejeden w Rzymie udekorowany rycerz zmieniłby się w najczystszej krwi liberała, niejeden lojalista śmiałby się na całe gardło z ugody, niejeden wróg demokratycznej ewolucyi potrząsałby frygijską czapeczką. Iluż z was wierzy, ilu symuluje? Kłamiecie dla chleba, kłamiecie, bo próżność was rozdyma, kłamiecie, bo tak wystudzono płomienie serc waszych, że z wygód, ambicyi, towarzyskich upodobań i zarobków nic na ołtarzu idei poświęcić nie umiecie. W cichym zakątku, w poufnej gawędce lub kiedy szampan zaszumi wam w głowie, macie nasze oblicza, lecz na rynkach publicznych stroicie się w mundur urzędowy, klepiecie litanie starych komunałów i zdawkowe słówka patentowanych przekonań. Ten brak cywilnej odwagi, to wymarcie ideałów w społeczeństwie poznańskiem, to wróg najpotężniejszy postępu i tu skierować należy główne wysiłki i starania wychowawczej pracy. Bądźmy mężni! — to młodym pokoleniom powtarzać trzeba bezustannie.

Drugim hamulcem rozwoju naszego, również nie dość wysoko ocenionym w planach sytuacyjnych i kombinacyach strategicznych postępowego stronnictwa, są pewne czynniki rozkładowe w samem obozie młodego ruchu, wśród zdeklarowanych zwolenników Przeglądu. Odwaga przekonań idzie tu często w parze z brakiem energicznej pracy. Żołnierze nasi na gromkie lub dyskretne *Qui vive?* nieprzyjacielskiej placówki nie zapierają się nazwiska swojego, lecz dróg nie karczują i nie zdobywają prozelitów dla sztandarów naszych. Jest to pewien platonizm sympatyi, który w praktycznej polityce nie wielkie oddaje usługi, bo kontentuje się starym terenem nie kusząc się o zdobycie nowego. A przytem jawią się nieraz w szeregach postępowych wązcy doktrynerzy, którzy przy zielonym stoliku w świetle lamp kują formułki swoje, nie licząc się z krużgankami stosunków, z światłem dnia białego, z warunkami gruntu i otoczenia. Dla drobnej różnicy w odcieniach opinii lub taktyki poświęcą oni stronnictwo i kroczą dumni z pawią powagą, kokietując mianem wielkich samotników lubo z pod fałd ich togi wygląda tylko obrażona próżność. I zdarza się nieraz, że z grona tych do politycznego działania niedorosłych doktrynerów postępu rekrutują się najzaciętsi wrogowie stronnictwa naszego, dla których jedno podrażnienie ambicyi jest wystarczającym motywem, aby budować pręgierz dla dawnych sojuszników. W krótkiej minucie potrafią oni przefarbować przyjaźń w nienawiść, uznanie w potępienie, portret w karykaturę. W praktyce mojej redakcyjnej spotykałem dość często takie okazy, i to nietylko w politycznej, lecz i literackiej dziedzinie, — znajdują się one we wszystkich stronnictwach i wszędzie zapach niemiły pozostawiają po sobie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* Henryk Nitschmann. W „Gazecie Gdańskiej" czytamy:

„Henryk Nitschmann, o którego pracach i zasługach, położonych na polu piśmiennictwa przez tłomaczenie utworów najsławniejszych naszych poetów na język niemiecki, obszerniej w feljetonie w nr. 11, 12 i 13 „Gaz. Gd." pisaliśmy, umieszczczając również jego portret w „Gwiazdce Niedz." — obchodzić będzie 26 kwietnia rb. 70-letnią rocznicę urodzin.

Aczkolwiek Niemiec z urodzenia i przekonania, daleki jest Nitschmann od nienawiści właściwej płytkim umysłom, do

szowinizmu skłonnych zazwyczaj literatów niemieckich. Kierując się poczuciem piękna, wydobył perły z naszej literatury na jaw i wiele zdziałał dobrego, chociaż, jak to nieraz bywa, zamiast uznania ze strony swych rodaków, na niełaskę w ich oczach się naraził.

My Polacy w Nitschmannie, chociaż należy on do szczepu Polakom nieżyczliwego, szanujemy człowieka głębokich myśli, uczonego bezstronnych poglądów i człowieka serca, który nie dbając o oklaski, w imię oświaty utorował drogę niemieckiemu światu do zapoznania się z perłami piśmiennictwa naszego.

Że i tego drobnego uznania niektórzy szowiniści swemu ziomkowi może pozazdroszczą, a może też nie życzą. przekonujemy się z ustępu w „Elb. Ztg.", w którym zapewne jakiś wielbiciel żelaznego kanclerza, no i wróg wszystkiego co polskie, stara się wmówić w Niemców, jakoby prasa polska (na myśli ma zapewne „Gaz. Gd.", która feljeton o N. powtórzony następnie przez „Kur. Pozn." najpierw zamieściła) przedstawiała Nitschmanna jako popierającego ich cele polityczne, słowem zamyślała go przerobić na Polaka!

Już z tego widać, jak ich szowinizm zaślepia, że nie umieją nawet pojąć poczucia uznania dla zasług jubilata, jakiem się kierowaliśmy, zapoznając czytelników naszych z jego życiorysem i pracami, przyczem ani nam przez myśl nie przyszło uważać go nie za Niemca.

Zresztą, że Nietschmann umie ocenić hołd i uznanie przez Polaków mu złożone i że nie są mu one niemiłe, dowodzi tego list jego do redakcyi naszej nadesłany, który w tłomaczeniu brzmi, jak następuje:

„Elbląg, 5 kwietnia 1896.

Szanownej Redakcyi składam niniejszem za łaskawą wzmiankę z 28 listopada z. r. i za późniejszy piękny artykuł o mej osobie i mych dążeniach, również za osobno mi przesłaną odbitkę tegoż moje podziękowanie. Jak się dowiedziałem, rozszedł się powyższy artykuł daleko.

Właśnie w obecnym czasie, gdzie nierozsądek i złośliwość wobec Polaków z odleżałemi frazesami się rozpanaszają, staje mi się tak sympatyczna demonstracya z kompetentnej strony podwójnie miłą.

Z szacunkiem uniżony
Henryk Nitschmann."

Nie dbając więc o uszczypliwe ujadanie szowinistycznych pismaków, w dzień urodzin złożymy uczonemu najserdeczniejsze nasze życzenia w dowód zasług położonych, wiedząc, że on je przyjmie z takiem sercem, z jakiem mu je ofiarujemy.

Jak się dowiadujemy z pewnej strony, zamierza Nitschmann zupełnie w spokoju obchodzić 70-letnią rocznicę swych urodzin i w tym celu wyjeżdża z Elbląga, by się usunąć przed możliwemi owacyami.

Z drugiej strony zaś donoszą nam, że instytucye nasze naukowe prześlą Nitschmanowi adresy w dowód szacunku i uznania".

* * *

„Bismarks Mahnworty an das deutsche Volk v. dr. Hans Blum." Bismarkowskie upomnienia i ostrzeżenia do narodu niemieckiego, zestawione przez dr. Bluma, wydane w Erlangen bardzo starannie, stanowią szereg zdań, zapatrywań, odpowiedzi lub wyzwań — wypowiedzianych przez Bismarka w parlamencie lub w aktach urzędowych, począwszy od r. 1848 do 1895. Historyk zatem, czy autor zestawiający te „skarby", jak je nazywa, sięgnął nawet po za okres urzędowej karyery Bismarka, ażeby nic nie uronić.

Przyjrzyjmy się tym skarbom. Przeważna część sentencyi daje obraz męża stanu, którego dusza rozmiłowała się w absolutyzmie i który odeń tylko spodziewa się zbawienia Niemiec.

Kiedy mimowoli przychodzi na myśl porównanie tych upomnień z upomnieniami np. „mów Fichtego" do narodu niemieckiego, to owe starsze dostają skrzydeł, tchną jakiemś ożywczem hasłem, budzącem do życia, gdy natomiast mowy Bismarka nakładają pęta, ściskają piersi obręczą z żelaza i zdaje się, że po przeczytaniu ich widzi się napis płomienny: *Lasciate ogni speranza.*

Niezliczone są okazye, przy których dziękuje Bogu, że duch ludu pruskiego jest „do szpiku kości monarchiczny." — Dowcip, wspomagany kłamstwem, napadał Bismarka zawsze, ile razy odzywał się o Polsce. Podobnie w r. 1867, gdy na protest wcielenia Wielkopolski oświadczył, że Polak w ciągu dziejów republiki polskiej nigdy nie doznawał takiego bezpieczeństwa, jak pod panowaniem pruskiem od lat stu, że na całym świecie, nie ma więcej jak 7 i pół miliona ludności polskiej, która przeważnie mówi po rosyjsku itp. Dostał się atoli i Rosyi komplement od przyjaciela. Słowiańskie plemiona są nieproduktywne. Rosyanie nie potrafią bez pomocy Niemców niczego dokazać.

Rok 1871 zajmuje w książce kilka kartek, a sprawa polska kilka stronic, na których są tak bezpodstawne, lubo zuchwałe argumenta Bismarka, że dziś zdziwienie ogarnia, gdy się widzi po kilku ustępach tych mów zaznaczone: oklaski. Niema też nic tak smutnego, jak bezmyślność reprezentantów narodu, posiadającego przecież wielkich myślicieli i wielkich poetów.

W roku 1886 motywował Bismark potrzebę ustawy kolonizacyjnej w Ks. Poznańskiem. Autor przytacza całe to charakterystyczne motywowanie. Gdyby nie okoliczność, że aż do znudzenia zajmuje księcia ta przed laty tak według niego m i z e r n a, a teraz nagle p o t ę ż n a i przebiegła narodowość polska, to wartoby przypomnieć i owe motywa. Dość atoli przytoczyć zdanie, że według Bismarka „agitacya polska wzmogła się i prosperuje jedynie wskutek dobroduszności niemieckiej. Albowiem Niemiec po rafi w skutek tej dobroduszności nie tylko wyskoczyć z własnej skóry, ale przeobrazić się nawet w cudzoziemca i przejąć jego aspiracyami".

Jakkolwiek twierdzi, że aspiracye polskie są mrzonką, która się nigdy nie urzeczywistni, zastrzega atoli jeszcze i w r. 1895:

„Pamiętajcie, że jeśli Polacy odrzucają jakikolwiek projekt, to składają tem świadectwo, że mógłby on prowadzić do wzmocnienia państwa niemieckiego".

W innem miejscu wypowiada: „Bez Poznańskiego nie moglibyśmy się obyć bardziej, niż bez Alzacyi, dlatego jesteśmy gotowi bronić naszej wschodniej granicy z poświęceniem do ostatniego żołnierza i ostatniego grosza w kieszeni. Jeśli śpiewamy o straży nad Renem, to tak samo atoli o straży nad Wartą i Wisłą. Możemy atoli nauczyć się jednej rzeczy od Polaków, to jest niezłomnego obstawania przy swojej sprawie bez różnicy stronnictw. Pragnąłbym, ażeby rodacy moi mogli jak najrychlej stłumić w sobie resztki sympatyi dla polskości, gdyż dla nas wszystko co polskie, jest partyą przewrotu."

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. W czwartek odegrano na scenie poznańskiej „Kaśkę Karyatydę", melodramatyczną przeróbkę z powieści Gabryeli Zapolskiej. Obszerniejszą recenzyę zamieścimy w najbliższym numerze; tu tylko nadmieniamy, że sztuka pozbawiona jest głębszych zalet scenicznych, a gra artystów z małemi wyjątkami odznaczała się zupełnym brakiem prawdy. — Podróż artystów naszych po miastach prowincyonalnych napotyka coraz ważniejsze przeszkody. Dowiadujemy się, że oprócz dawniej wymienionych członków towarzystwa poznańskiego, opuszczają trupę p. Ogińska i Wiśniowiecka, by w miesiącach latowych występować w ogródkowych teatrzykach warszawskich. — P. Helena Krzyżanowska wykonała na własnym koncercie w Paryżu oratoryum Redegorda w trzech częściach, napisane przez nią samą na orkiestrę i przełożone na fortepian do słów Pawła Orosa. — Adam Münchheimer pracuje nad partyturą opery „Korsykanin", do której libretto napisał p. Wł. Miller. — „Dziennik Poznański" zamieścił wiadomość, że naczelny redaktor jego, pan Dobrowolski, nie myśli o złożeniu urzędu dyrektora teatru. Pan D. nie myśli — to prawda — ale inni myślą. Przekona się o tem uparty kierownik, któremu szczerze radzimy, by, nie czekając usunięcia, sam się usunął. Sprawa ta może wziąć bardzo niemiły obrót dla obecnego dyrektora, więc lepiej nie przeciągać struny i kapitulować.

BADANIA NAUKOWE.

— Wysokość wzlotu balonu. Ciekawa kwestya, do jakiej wysokości największej może się wznieść balon, pozostaje ciągle otwartą. Doświadczenia w tym kierunku przedsięwzięte narażały życie wielu śmiałych żeglarzy napowietrznych, w ostatnich jednak czasach zaczęto puszczać balony bez pasażerów, zaopatrzone w przyrządy, automatycznie notujące obliczenia barometryczne, termometryczne itp. Interesujące wiadomości znajdujemy w sprawozdaniu prof. Assmanna, członka Towarzystwa aerostatycznego w Berlinie. Z liczby 47 prób, dokonanych przez Towarzystwo, notujemy dwie, w których osiągnięto wysokość największą: Jeden z balonów uniósł swych pasażerów w górę na wysokość 9,151 metra, balon zaś z przyrządami automatycznemi, nazwany „Cyrus", zanotował najwyższą wysokość 18500 metrów. Na wysokości 7,700 metrów aeronauci skonstatowali temperaturę 36 i pół stopnia niżej zera, a na wysokości 9,150 metrów 48 stopni. Balon „Cyrus", wzniósłszy się do 18,500 metrów, znalazł tam temperaturę 67 stopni niżej zera. Dotychczasowe obliczenia zdają się dowodzić, że na wysokościach po nad 7 tys metrów, temperatura pozostaje niezmienna podczas wszystkich pór roku.

AFORYZMY.

Duma mówi: Jestem! — zarozumiałość: Wyglądam!

Kobiety nie chcą wyglądać dobrze, lecz zawsze lepiej.

Jeżeli miłość jest komedyą, to małżeństwo staje się dramatem.

Smutna to rzeczywistość: piękno prawie zawsze jest nieużyteczne. *Karr.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. Cw. w Krakowie. Dziękujemy serdecznie za pochlebną ocenę pracy naszej i kierunku. Artykuliku tego jednak zamieścić nie możemy, bo wywierałby wrażenie silnego samochwalstwa.

Czesław O...... Wiersz „Do Młodej Polski" posiada wiele siły, lecz forma gdzieniegdzie sztuczna i klejona. Za gromką pobudkę przesyłamy wyrazy wdzięczności.

Obywatel. Otrzymaliśmy już odnośne informacye z innego źródła. Postaramy się w swoim czasie o wyświetlenie nizkich motywów takiego postępowania.

Dr. M. w Paryżu. Przesyłać możemy „Przegląd tylko za normalną cenę 5,50 mr., o których nadesłanie uprzejmie prosimy.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28